

Łódź. Rozmowa Judyty Hajduk z panią Heleną Najberg.

21.02.2005

KASETA NR 1

STRONA A

J.H.: Zaczniemy od tego skąd pani rodzina pochodziła. Czy pamięta pani swoich pradziadków?

H.N.: Nie, nie. Tylko ta jedna babcię.

J.H.: Babcię ze strony?

H.N.: Ze strony matki. To była matka matki.

J.H.: I ona nazywała się?

H.N.: Cederbaum na nazwisko, ale nie pamiętam imienia.

J.H.: I pamięta pani coś związanego z babcią? Skąd pochodziła...

H.N.: Nic, absolutnie. Ojciec się urodził w Żychlinie. To widocznie babcia... A to nie jego, to ze strony matki. A ze strony ojca żadnego z dziadków nie znałam. A pradziadków to już w ogóle. B jak ta babcia zmarła, to ja byłam dzieckiem. No, nie interesowałam się specjalnie jej pochodzeniem, nie wiem co robiła. Także, tego... nic pani nie powiem.

J.H.: I rodzice też nie opowiadali?

H.N.: No raczej nie. No bo... cóż takie dziecko. Ile ja miałam, parę lat, także... Ja się też nie interesowałam. Babcię rzadko widywałam, no i zmarła, jak byłam dzieckiem, także... Niestety niewiele mogę powiedzieć na jej temat.

J.H.: A pani rodzina skąd pochodziła wobec tego?

H.N.: Ojciec pochodził z Żychlina, a matka z Łodzi. Tutaj się urodziła.

J.H.: A Żychlin, to gdzie ta miejscowość?

H.N.: To jest niedaleko Łodzi, ale dokładnie to nie powiem. No, ale dawno mieszkał już w Łodzi. Tu się rodzice poznali, w Łodzi.

J.H.: To zaczniemy najpierw od taty. Tata miał na imię?

H.N.: Feliks. Właściwie Fiszel, tylko ja mu zmieniłam imię po wojnie.

J.H.: Ale dlaczego?

H.N.: No dlatego, że... ja sobie też zmieniłam imię, bo ja się nazywałam przed wojną Chaja, w metryce miałam Chaja, a to nie było modne zaraz po wojnie. Nawet kazali mi zmienić nazwisko, ale ja nazwiska nie zmieniłam tylko imię z Chaji na Helenę. No i tak... A ojciec był Fiszel, to mu zmieniłam na Feliks. Matka była Witla, to jej zmieniłam na Wiktoria. Tylko tyle zmieniłam, przy nazwisku zostałam.

J.H.: I tata czym się zajmował?

H.N.: Tata był księgowym. No a mama była w domu, nie pracowała, to znaczy pracowała tyle, że szła nam wszystko. Nawet dla ojca szła ubrania. Bardzo dobrze szła.

J.H.: I państwo od razu mieszkaliście w Łodzi?

H.N.: Tak, tak.

J.H.: czyli tato pracował jako księgowy w Łodzi?

H.N.: Tak. I ja się urodziłam w Łodzi.

J.H.: A pamięta pani, gdzie tato pracował jako księgowy?

H.N.: Na Wólczańskiej 44, to była farbiarnia i wykańczalnia mojego wujka, znaczy ojca szwagra. I tam ojciec pracował, poprzez wszystkie te lata.

J.H.: A ten szwagier, jak się nazywał?

H.N.: Cytryn. Wolborska 44 i tam mieszkaliśmy w czasie wojny.

J.H.: Tata urodził się?

H.N.: W Żychlinie.

J.H.: W którym roku, kiedy?

H.N.: W 1893. Także teraz miałby już dużo ponad setkę, ale jak zginął to miał pięćdziesiąt parę lat.

J.H.: Był wychowywany w rodzinie ortodoksyjnej?

H.N.: Tak, raczej tak, ale sam nie był ortodoksyjny.

J.H.: I chodził do chederu pewnie?

H.N.: No na pewno tak, ale tego też nie wiem dokładnie. Rodzice jakoś nie opowiadali i ja się tym nie interesowałam, bo jak wojna wybuchła, to ja byłam smarkata, także nie interesowałam się tymi dawnymi czasami.

J.H.: A nie zastanawiała się pani, dlaczego rodzice o tym nie opowiadają, czy to wynikało tylko z tego, że pani się nie interesowała, czy z tego, że od tej tradycji odchodziło się stopniowo?

H.N.: No raczej tak. U nas nie był taki typowy, żydowski dom. No wie pani, rodzice do synagogi chodzili tylko raz w roku, w Sądny dzień. No to już było tak tradycyjnie i pościli cały dzień, dopiero wieczorem, jak wracali, jedli coś. No, a myśmy jedli normalnie. Ja jeszcze miałam brata młodszego o sześć lat. Ale brat też chodził do szkoły żydowskiej Kacnelsona, taka była szkoła. Także ta tradycja była utrzymywana o tyle, że mieliśmy kontakt z tym. No i w domu też, jak były jakieś święta, to też były specjalne potrawy. Ale na przykład w Wielkanoc, to Żydzi nie powinni jeść chleba, a myśmy jedli i macę i chleb, także nie było to tak... Wie pani... przestrzegane. I nie był tych... bo normalnie w żydowskich domach powinno być koszerne. Osobne naczynia, tego... U nas też tego nie było. Pamiętam, że taka ciotka czasem przychodziła do nas, to była bodajże ze strony matki, tak... To nie była siostra, jakaś krewna matki, czy nawet siostra już nie pamiętam dokładnie, no to już tyle lat. Ale ona u nas nie jadła nic. Nawet na papierku, bo matka jej powiedziała, że na papierku jej poda, nie piła nie jadła bo u nas było niekoszerne, wiedziała o tym. A ona była bardzo nabożna. No moja rodzina i ze strony matki i ze strony ojca była raczej taka nabożna. Tylko u nas był taki dom postępowy.

J.H.: A jeżeli chodzi o mamę, to mam urodziła się...

H.N.: Też w 93 roku.

J.H.: Ale w Łodzi?

H.N.: W Łodzi, w Łodzi.

J.H.: I wie pani coś o tym, jak była wychowywana, gdzie chodziła do szkoły? No dom to był ortodoksyjny raczej, tak?

H.N.: No tak. No i ze strony ojca i ze strony matki, ale dlaczego oni tak się wyrodzili? Ja nie wiem, bo u nas nie było przestrzegane to.

J.H.: Ale rodzice nie opowiadali o swoim dzieciństwie?

H.N.: Raczej nie, raczej nie. Może, gdybym jeszcze podrosła, gdybym była starsza, zaczęliby opowiadać? Ale myśleli, że młoda dziewczyna, że ją to nie interesuje raczej.

J.H.: Jak pamięta pani ojca, to on ubierał się tak raczej po europejsku?

H.N.: Po europejsku.

J.H.: Żadnych pejsów, żadnych...

H.N.: A skąd.

J.H.: Modlitwy w domu?

H.N.: Nie było. I mam świec nie zapalała w piątek. Pamiętam, to akurat zapamiętałam, że kiedyś w piątek ktoś zapukał do drzwi. No więc mam wiedziała, że jak pukają, a nie dzwonią, to znaczy, że ktoś z rodziny. A świece nie były zapalone. I dopiero szukała świeczników, świec i to trwało dość długo i oni się domyślili, widzieli, że świece dopiero co zapalone i od tego czasu nigdy nie przychodzili w piątek.

J.H.: Pani odczuwała, że wasz dom jest na uboczu całej rodziny? Z rodziny ojca tylko tato się tak wyróżnił?

H.N.: Raczej tak, raczej tak. I ze strony matki taka samo. No ze strony matki nie znałam tak dużo, znałam jedną kuzynkę, ale też nie była taka nabożna, ale przychodziła do nas często. No i te ciotki te... Ta ciotka, co... no dosłownie nie tknęła niczego u nas w domu. Mama była zrozpaczona, mówi: „Dam ci na papierku, dam ci w osobnej szklance”, „Nie ma mowy”.

Nigdy nie tknęła niczego w naszym domu, wiedziała, że u nas nie jest koszerne.

J.H.: A pamięta pani może, czy tata miał jakieś rodzeństwo?

H.N.: Tak, miał. Miał brata, który zmarł w pierwszy dzień wojny.

J.H.: A pamięta pani, jak się nazywał?

H.N.: Na imię nie pamiętam już. No nie pamiętam, to jest tyle lat. I jeszcze była taka historia, jeśli chodzi o tego brata, no została po nim żona, dzieci nie mieli. I ponieważ nie mieli dzieci, taka jest w żydowskiej religii takie prawo, że jak ta wdowa chce ponownie wyjść za mąż, to najstarszy brat męża tego zmarłego musi takie, jakby to powiedzieć, to się nazywało haluca po żydowsku, po hebrajsku, to musiał dać takie rozgrzeszenie jakby. I jeszcze takie było prawo, że musiał rzucić swój but w ludzi, którzy tam stali i kogo ten but trafił musiał umrzeć w tym roku. I ojciec nie chciał tego zrobić. Powiedział, że w żadnym wypadku.

J.H.: Bo ojciec był najstarszy tak?

H.N.: No, po wojnie tak. Znaczy w czasie wojny tak. Nie było już starszego brata. Najstarszy brat zmarł jeszcze przed wojną. No i ponieważ ojciec nie chciał tego zrobić, zresztą powiedział tak: „Ta kobieta miała z chyba ponad siedemdziesiąt lat, gdyby to była młoda dziewczyna, to bym się jeszcze poświęcił, ale taka kobieta musi mieć teraz męża?”. No i nie zrobił tego, to nas bardzo prześladowali. Bo myśmy tam mieszkali u nich w suterenie, tam mieliśmy gaz, to odcięli nam ten gaz i w ogóle bardzo nas prześladowali, za to, że ojciec nie chciał tego zrobić.

J.H.: A dlaczego ojciec nie chciał tego zrobić?

H.N.: Bo pani sobie wyobraża, że trzeba rzucić ten but i w kogo ten but trafi ma umrzeć w tym roku, „To ja mam być przyczyną śmierci człowieka?”.

J.H.: Ja rozumiem, ale tego buta to się tak rzucało na ulicy? Czy robiło się jakieś zebranie?

H.N.: Nie, nie to było w mieszkaniu.

J.H.: Wśród członków rodziny tak?

H.N.: Tak, tak. On mówił: „Ja mam to zrobić? Nigdy w życiu.” No. Grozili tacie, że będą go prześladować, ale nie ugiął się.

J.H.: A kto groził?

H.N.: No rodzina, no. Ten, ta...

J.H.: Tej kobiety?

H.N.: Nie, ta kobieta to przecież była moja ciotka, żona wujka. No i tam... A żona tego właściciela... tej fabryki i tego domu, to była moją ciotką. To była siostra mojego ojca. No i ta rodzina właśnie tak groziła i spełnili te groźby. Pamiętam, że... no ten gaz, to wtedy było całe szczęście w czasie wojny, to nam odcięli. No i trzeba było pichcić na kuchence. To nie było takie proste. Nawet nie było opału. No, ciężkie życie.

J.H.: Czyli to jest ten jeden brat taty, który umiera w dzień rozpoczęcia wojny, czyli 1.09.39?

H.N.: Tak, tak, tak.

J.H.: Jeszcze był jakiś starszy brat, który pani mówiła umarł jeszcze przed wojną.

H.N.: Przed wojną jeszcze, tak.

J.H.: Nie pamięta pani imienia, albo jakiejś historii z nim związanej?

H.N.: Nie pamiętam.

J.H.: To są dwaj bracia. Jeszcze jakieś rodzeństwo było ojca?

H.N.: No jeszcze ta siostra ojca. Żona właściciela tej fabryki i tego domu.

J.H.: Cytryna tak?

H.N.: Tak.

J.H.: A pamięta pani jak miała na imię?

H.N.: Iska.

J.H.: I ona była młodsza od taty?

H.N.: Chyba tak. Młodsza.

J.H.: Czyli tata był trzeci w kolejności?

H.N.: tak.

J.H.: I po tej siostrze jeszcze jakieś rodzeństwo było?

H.N.: Chyba nie.

J.H.: A jeżeli chodzi o mamy strony rodzeństwo.

H.N.: O mamy stronę... No to była ta ciotka, siostra mamy, która nic nie chciała jeść u nas.

J.H.: Nie pamięta pani imienia?

H.N.: Ryfka, ciocia Ryfka, teraz sobie przypomniałam. I jeszcze...

J.H.: Ona była starsza od mamy?

H.N.: Ona była starsza i ona zginęła w czasie wojny. Mieszkała we Francji w ogóle, przed wojną przenieśli się do Francji.

J.H.: Ale wie pani, dlaczego się przenieśli?

H.N.: A tego nie wiem.

J.H.: Ale tuż przed wojną? Czy jakoś dłużej?

H.N.: No nie, jakoś parę lat przed wojną. No, może za chlebem, jak to bywało. No i miałam jeszcze kuzynkę, która zmarła już po wojnie. Byłam u niej. Ona w Belgii mieszkała. Ona to była nabożna. No to, to do przesady. Ona nie zjadła kawałka chleba, póki nie odmówiła wszystkich modlitw i to czasem trwało do 10, 11. A była słaba, chorowita, no... Przecież też nie młoda kobieta. Ja jej mówiłam, „No, albo zmów te modlitwy wcześniej, albo zjedz coś”. Nie, mowy nie ma, „Jak nie zmówię modlitw, to nie mogę jeść”. Bardzo była nabożna. Jak pamiętam chodziła w sobotę do bóżnicy, to nie wolno było nawet brać torebki, a klucze miała przypięte agrafką, nie wolno było trzymać w ręku. I tam siedziała godzinami. Wszyscy na nią mówili, że jest rabinem. No bo ona rzeczywiście pierwsza przychodziła, a ostania wychodziła. No, jak myśmy tam były, ja byłam z córką, tam u niej, w 74 chyba roku. No tak, bo w 72 miałam wypadek samochodowy, a w 74 pojechałam do niej jeszcze o lasce pamiętam. I ja jej powiedziałam, bo na przykład w sobotę, już od piątku wieczorem nie wolno u Żydów zapalać światła, nie wolno podpalać ognia. A ja powiedziałam: „Słuchaj, nie będę po ciemku leżeć...”, no w toalecie, to była taka mała piętnastka żarówka, to całą noc się paliła, żeby nie trzeba było zapalać. „Ale u nas w pokoju, ponieważ ja muszę czytać wieczorem, bo inaczej nie zasnę, to ja se będę zapalać światło, wiesz przecież, że w naszym domu nie przestrzegano tych, tych...” I ona mi pozwoliła na to. No różnie to jest. No, ale sama to przestrzegala wszystkiego. I raz była tragedia, jak byłam u niej, bo ścierką od mlecznych naczyń, wytarłam jakieś mięsne naczynie, bo były osobno. No bo ja się nie znałam na tym, u nas w domu tego nie było. To trzeba było kosherować. Cuda się działy. No ja ją przeprosiłam, no ona wiedziała zresztą, że u nas nie były przestrzegane te wszystkie historie. A jak były jakieś święta, to tam rewolucja była w domu. Wszystko musiał być wyjęte z kredensów, z szaf. Umyte, posegregowane. No, ona się męczyła strasznie. No, ale ona była w takim duchu wychowana.

J.H.: I co to była za kuzynką, jak miała na imię?

H.N.: Tola na imię miała, ale to była ze strony matki kuzynka. Także ona powiedziała, że matka jej wyświadczyła jakąś przysługę i ona dlatego stale do mnie pisała i zapraszała. No raz zaprosiła nas jeszcze w tych czasach stalinowskich, nawet nie przyszło to zaproszenie. No, ale wreszcie dostałam to pozwolenie i pojechałam do niej. No byłam tam u niej chyba półtora miesiąca.

J.H.: A pani wie, jaka to przysługa mogła być?

H.N.: Nie, ona nie chciała mi powiedzieć. Ale nie wiem co to było, w każdym razie nie powiedziała mi. „Ale czuję się” mówi „zobowiązana do końca życia”. No niestety zmarła ta kuzynka i kazała się pochować w Izraelu i pochowali ją w Izraelu. I ona była bardzo nabożna.

J.H.: Teraz wróćmy do rodziców. Kiedy się pobrali?

H.N.: W 20, 21 się pobrali. Zaraz, matka miała wtedy 27 lat, a urodziła się w 93. No to to... w którym to roku było? No to w 1920. A ja się urodziłam w 23.

J.H.: To chyba późno mama wyszła za męża?

H.N.: No późno tak. No tak jakoś się złożyło. Nie wiem. Wiem, że miała jakąś wielką miłość. Nawet ten człowiek przyjechał kiedyś do nas. Pamiętam przed wojną. No, ale tak się złożyło, że on musiał wyjechać. I wyjechał gdzieś do Ameryki Południowej i stracili kontakt. No a później matka poznała ojca, no i jakoś się... pobrali.

J.H.: A opowiadali rodzice coś o tym, jak się poznali?

H.N.: Nie, tego nie opowiadali.

J.H.: I czy to było małżeństwo...

H.N.: Raczej z rozsądku. No, ale bardzo dobrze żyli ze sobą, nie mogę powiedzieć. Nigdy nie było kłótni, zawsze był spokój w domu. Także...

J.H.: I pani urodziła się, w którym roku?

H.N.: W 23.

J.H.: Którego?

H.N.: 5 marca. Niedługo będę miała urodziny.

J.H.: I w Łodzi to było?

H.N.: W Łodzi. I ja w ogóle całe swoje życie mieszkam w tym kwadracie. Urodziłam się na Żeromskiego 9, później mieszkaliśmy jak pamiętam na... 11 Listopada 26, obecnie Legionów, później mieszkaliśmy na Zawadzkiej 25, to tu Próchnika i po wojnie, tu Gdańska 12. Tu od 45 roku, także wszystko w tym kwadracie.

J.H.: I ani urodziła się na Żeromskiego w mieszkaniu, czy to był jakiś szpital?

H.N.: Nie, nie. Kiedyś to nie było takiej mody, żeby w szpitalu rodzić, w domu się rodziło.

J.H.: I mamie ktoś pomagał chyba przy tym porodzie?

H.N.: No tak oczywiście. No mój brat, no był sześć lat ode mnie młodszy, też się urodził w domu.

J.H.: I to tylko jedno jest rodzeństwo pani?

H.N.: Nie mam, zginął w czasie wojny. Tak, jednego brata miałam.

J.H.: I brat, jak miał na imię?

H.N.: Izaak, ale wołaliśmy na niego Jerzyk. I mój syn nazywa się po nim. Jerzy.

J.H.: Więc pani rodzi się na Żeromskiego, w domu i pierwsze lata spędza pani pewnie w domu z mamą?

H.N.: Tak, tak. Mama się opiekowała. No później chodziłam do szkoły, do tej właśnie Aba.

J.H.: I od którego roku?

H.N.: No miałam siedem lat, jak zaczęłam chodzić do szkoły, no to było w 30 roku.

J.H.: I to była jaka szkoła?

H.N.: Gimnazjum to się nazywało. Gimnazjum imienia Józefa Aba. A ten Józef Ab, to go pamiętam do dziś, to taki... jeszcze sprzed tamtej wojny, w sztucznych spodniach, z monoklem, tutaj fraczek taki, do dziś go widzę. On tam przychodził, bo był właściwie dyrektorem tej szkoły.

J.H.: I to była szkoła żydowska?

H.N.: Żydowska. To znaczy język wykładowy był polski, ale się uczyliśmy historii Żydów, uczyliśmy się hebrajskiego, także... W tym sensie była żydowska. I nie miała prawa... Matury trzeba było zdawać w innych szkołach, bo ona nie miała prawa egzaminować. Nie wiem dlaczego. Podobno tam mieli być komuniści, nie wiem. Ja wtedy się tym nie interesowałam.

J.H.: I pamięta pani jeszcze jakieś przedmioty, oprócz tego hebrajskiego...

H.N.: No to normalne wszystkie: matematyka, historia, no... Przyroda, chemia, no...  
Wszystkie przedmioty normalnie, co w innych szkołach.

J.H.: A miała pani takiego ulubionego swojego nauczyciela, czy przedmiot na przykład?

H.N.: Ulubiony nauczyciel to był fizyk, uczył fizyki. I ja tam chodziłam z moją przyjaciółką, z którą się prawie razem urodziłyśmy: bo ona się urodziła w grudniu 22, a ja w marcu, w 23. I taki postawny... on nawet po wojnie tutaj też... On był profesor. Kojrański nazywał się. I on nas trzymał jedną na jednym ramieniu, drugą na drugim i tak z nami chodził.

J.H.: Na rękach panie nosił?

H.N.: Na ramionach, na barana tak zwanego. Kiedyś coś źle odpowiedziałam na pytanie z fizyki, to mówi: „Jak ty mogłaś mnie tak rozczarować, zawieść? Ja myślałam, że ty będziesz najlepsza w klasie”. A ja nieźle sobie radziłam, ale raz mi się zdarzyło. I ja zaczęłam płakać. To on wyciągnął taką chustę, do dziś to pamiętam i wziął mnie na kolano, zaczął mi wycierać łzy, mówi: „Już nie płacz, na pewno się poprawisz”. I to pamiętam do dziś i to był nasz najbardziej ulubiony nauczyciel.

J.H.: I ulubiony przedmiot fizyka tak?

H.N.: No nie bardzo. Jako przedmiot to nie bardzo. Nauczyciel.

J.H.: A przedmiot?

H.N.: Przedmiot... właściwie ja jestem humanistką i z wyboru i z... Lubiłam polski, historię, także raczej te humanistyczne przedmioty. No ja na przykład, moje wypracowania do dziś pamiętam były czytane na głos w klasie zawsze. Albo jak jakaś akademia była, ja pisałam wypracowanie, to było czytane na głos.

J.H.: I w tej szkole to byli nauczyciele tylko pochodzenia żydowskiego?

H.N.: Nie koniecznie.

J.H.: Ten pani nauczyciel od fizyki, to był Żydem?

H.N.: No nie wiem właśnie, nie wiem. Ale, ale wiem, że go bardzo lubiłam. On się z nami tak bawił jak taki dziadek no...

J.H.: A pani przyjaciółka, o której pani mówiła, to nazywała się jak?

H.N.: Otelsberg Lila, Liliana. I moja córka nazywa się po niej. Znaczy nie po niej, bo ona jeszcze żyje. Nawet widziałam się z nią w tamtym roku, ona mieszka w Stanach. I jak byłam w Kanadzie u córki, to przyjechała. Ale ja by jej nie poznała na ulicy. No nie widziałam jej chyba z 50 lat, albo więcej.

J.H.: I do tej szkoły chodziły tylko dzieci żydowskie?

H.N.: Tak.

J.H.: Tylko?

H.N.: Tak.

J.H.: Tylko dziewczynki, czy chłopcy też?

H.N.: Dziewczynki. To była żeńska szkoła.

J.H.: I pani wie dlaczego rodzice taką szkołę dla pani wybrali?

H.N.: Nie wiem, tego nie wiem.

J.H.: Chodzi o to, że dom nietradycyjny, ale szkoła musiała być...

H.N.: Tak, tak. No tak się złożyło.

J.H.: Czy ma pani jakieś wspomnienia związane z pani dzieciństwem, nawet tym najwcześniejszym, jeszcze przed szkołą, jak pani była z mamą w domu. Nieraz się zapamiętuje...?

H.N.: No nie bardzo.

J.H.: Jaka była mama. Jak to było właściwie, czy tata był takim bardziej surowym?

H.N.: Nie, nie. Oboje rodzice byli bardzo łagodni. Nie powiem, żeby byli tacy przesadnie łagodni, ale nie krzyczeli na nas. Nigdy żadnych awantur w domu nie było.

J.H.: Ale to dlatego, że wy byliście tacy grzeczni, czy że rodzice pobłażali?

H.N.: A tego to właśnie nie wiem. Nie, no to... Myśmy im nie przysparzali wielu kłopotów, muszę powiedzieć. Ani ja, ani brat. No, ja się bratem zajmowałam, jako starsza siostra oczywiście. Ja miałam sześć lat, jak on się urodził, ale później to już była większa różnica, no to ja się musiałam nim opiekować. Jak rodzice wychodzili, to ja go pilnowałam... No myśmy bardzo dobrze żyli ze sobą. No, ale niestety...

J.H.: A jakieś wspomnienia ze szkołą związane, to tylko o tym nauczycielu?

H.N.: Ooo... Jedno wspomnienie mi utkwilo w pamięci. Była klasówka z łaciny. A myśmy ubóstwiały tego nauczyciela też. Bo to był taki elegancki mężczyzna, a my takie nastolatki, to imponował nam. I była klasówka i wszystkie zawałyśmy tę klasówkę. I córka dyrektorki tej szkoły, ona teraz mieszka w Izraelu, to była taka wodzirejka, powiedziała: „Dziewczyny, jak się skończą zajęcia, to my idziemy do pokoju nauczycielskiego i wykradniemy te prace i poprawimy te stopnie”. I tak zrobiłyśmy. I traf chciał, że akurat napatoczył się woźny. I wszystkie zdążyły uciec, tylko ja zostałam. To ja byłam zrozpaczona. Mówię: „Co to będzie, jak on powie nauczycielom?”. Ale jakoś grzeczny był, nie powiedział nauczycielom, ale domyślili się. No bo jak, kto by tam... poprawiał stopnie i unieważnili oczywiście te klasówkę. Ale to zdarzenie mi utkwilo w pamięci, bo całą sobotę i nie dziele... nie, w niedzielę to się chodziło chyba do szkoły, tylko w sobotę nie... to ja drżałam, jak się dowiedzą nauczyciele, to będzie draka straszna. Jak to się stało, że wszystkie zdążyły uciec, tylko ja jedna? No nie wiem, już nie pamiętam. Ale to było tragiczne zdarzenie dla mnie i to mi tak utkwilo w pamięci.

J.H.: Pni była dobrą uczennicą?

H.N.: Raczej tak. No z matematyki, tam z tych rzeczy trochę gorzej, ale jeżeli chodzi o humanistyczne przedmioty, to byłam jedna z najlepszych. Tak zawsze...

J.H.: A w szkole u pani, pytam bo raz mi się zdarzyło że pan opowiadał, były kary cielesne?

H.N.: Nie, nie. Nie przypominam sobie, żeby którakolwiek dostała jakieś lanie. Nawet wtedy po tym... bo oni się domyślili, że to nasza klasa, bo tylko z naszej klasy te zeszyty zostały poprawione. Ale też nie... nie pamiętam, żeby była jakaś wielka kara tylko unieważnienie tej klasówki i powtórzenie. No to też była dla nas kara. No bo łacina to nie jest taki język popularny. No, ale pamiętam jeszcze jakieś niektóre fragmenty wierszy łacińskich, no ale to tak już, jak przez mgłę. A ten nauczyciel Narcyz Łubnicki się nazywał, do dziś pamiętam.

J.H.: Ten od łaciny?

H.N.: Od łaciny, do dziś pamiętam. To po wojnie nawet pisali o nim w gazecie, tylko nie pamiętam w jakiej. I o tym Kojrańskim też pisali.

J.H.: A pani brat, to on się urodził, on ile lat był młodszy od pani?

H.N.: Sześć. To on był 29 rocznik.

J.H.: A dokładnie kiedy się urodził?

H.N.: 19 listopada.

J.H.: I on chodził do jakiej szkoły?

H.N.: Kacnelsona, też żydowska szkoła, ale męska z kolei.

J.H.: I to też gimnazjum?

H.N.: Tak.

J.H.: A do chederu to nie chodził?

H.N.: Nie, nie, nie.

J.H.: I jak to było z państwem. Państwo byli bardzo ze sobą związani?

H.N.: Bardzo, bardzo.

J.H.: I wolny czas też spędzaliście razem, mieliście jakieś wspólne zabawy?

H.N.: No, czasami to byłam zła, bo tam koledzy, koleżanki czasem gdzieś tam szli, a ja musiałam pilnować brata. On był sześć lat młodszy, nie można go było samego zostawić. O jak rodzice wychodzili, to ja byłam opiekunką. Zawsze sześć lat różnicy to jest. No czasami

byłam na niego zła, że musiałam zrezygnować z własnych przyjemności. No, ale na ogół kochaliśmy się bardzo.

J.H.: A jakieś wspólne zabawy mieliście. Jak to było?

H.N.: No, ja przeważnie też byłam z ta moja przyjaciółką, teraz mieszka w Stanach.

J.H.: Z Lilą?

H.N.: Z Lilą, tak. I moja córka też jest Lila. Także... wspólnych takich, no... sześć lat różnicy w takim wieku, to jest dużo.

J.H.: No, ale jak zostawaliście sami, jak rodzice gdzieś wychodzili, to jak spędzaliście ten czas?

H.N.: No to tak... różne tam gry, już nie pamiętam chińczyk, nie chińczyk, takie różne gry planszowe, to się grało. To dla niego było dostępne. No a w co można było grać z o sześć lat młodszym chłopakiem?

J.H.: I on zginął w czasie wojny tak?

H.N.: No właśnie... on tak, był u mnie po wojnie mój kuzyn, już nie pamiętam ze strony ojca chyba, i powiedział że mój... ojca to posłali do Mauthhausen i tam zmarł. 25 kwietnia 45 roku. Może pani sobie wyobrazić parę dni przed końcem wojny. No, ja dostałam z Czerwonego Krzyża, bo ja pisałam do Czerwonego Krzyża i dostałam akt zgonu ojca. A co do matki, to zginęła od razu, jak przyjechaliśmy do Oświęcimia, w komorze gazowej, to wiem na pewno. No bo przecież kobiety były osobno, to jakby matka żyła to by była razem ze mną. Także ja zostałam od razu pierwszego dnia od razu sama. Brat i ojciec od razu poszli do męskiego, matka do komory no i... ojca posłali do Mauthhausen, a brata też podobno wywieźli z Oświęcimia, ale przywieźli go z powrotem i tam umarł. To tak mi powiedział ten kuzyn. No nie miałam żadnych wiadomości już później. O ojcu, no o tyle że jeszcze akt zgonu mam do dziś.

J.H.: Teraz chciałabym trochę o tej Łodzi przedwojennej porozmawiać. Pani mówi, że całe dzieciństwo wychowuje się w Łodzi. I jak to jest, najpierw na jakiej ulicy mieszkacie?

H.N.: Żeromskiego 9, tam się urodziłam.

J.H.: I ta ulica była typowo żydowska?

H.N.: Nie, to było tak... mieszane towarzystwo. No, a później to się przeprowadziliśmy tutaj na 11 Listopada 26, to tu niedaleko, no i później na tą Zawadzką 25.

J.H.: I zawsze mieszkaliście razem z Polakami, tak?

H.N.: No w tym domu ostatnim, Zawadzka 25, tam było bardzo dużo Żydów, w tym domu akurat. A w tamtych to razem się chowaliśmy.

J.K.: A jak to było z pani rodzicami, oni utrzymywali kontakty z nie-Żydami?

H.N.: No, raczej wtedy to nie było przyjęte. Raczej w kręgu znajomych, rodziny.

J.H.: A jeżeli chodzi o Łódź przedwojenną, żydowską, to pani ją chyba pamięta dobrze?

H.N.: No o tyle, o ile. Przecież to jest już tyle lat.

J.H.: A mogłaby pani coś o niej opowiedzieć? Jak ona wyglądała ta Łódź?

H.N.: No ja mówię pani, znam ten kwadrat.

J.H.: No to chociaż ten kwadrat. Czy Żydów tutaj było dużo, czym oni się zajmują, czy ich widać na ulicy, czy to są Żydzi ortodoksyjni...?

H.N.: No nie było tutaj takich typowo ortodoksyjnych w tym kwadracie, nie widziałam, pojedyncze osoby były, ale żeby tak dużo było to nie. No, ale pamiętam że w te święta, jest takie żydowskie święto Purim się nazywa, to myśmy pamiętam przebierali się wszyscy. Ta matka tej mojej przyjaciółki, to ona miała taką inwencję w tym kierunku. Przebieraliśmy się, bo taka tradycja była i szliśmy ulicą, gdzieś od znajomych do znajomych chodziliśmy, śpiewaliśmy różne piosenki, to tak pamiętam jeszcze.

J.H.: A ci Żydzi, którzy mieszkali w tym kwadracie, to czym się zajmowali. To byli handlarze, którzy stali na ulicach. Ich było w ogóle widać, czy raczej nie?



H.N.: Raczej nie, raczej nie. No, czym się zajmowali, to trudno mi powiedzieć, bo tak nie utrzymywaliśmy kontaktów. Ale nie widać było, żeby na ulicy handlowali.

J.H.: A żydowskie sklepy, dużo ich tutaj było?

H.N.: No, było, były sklepy. Matka to przeważnie w tych żydowskich sklepach kupowała, mimo że nie przestrzegąła tych różnych...

J.H.: Spożywcze, czy raczej tekstylne?

H.N.: Spożywcze, różne takie były.

J.H.: I mówiła pani, że chodzicie do synagogi tylko raz w roku?

H.N.: Tak.

J.H.: A do mykwy...

H.N.: Nie.

J.H.: No ta pani się nie orientuje, gdzie tutaj w Łodzi były takie miejsca?

H.N.: Nie, nie. Tego nie wiem.

J.H.: A do synagogi której chodziliście?

H.N.: No, ja nie chodziłam tylko rodzice chodzili.

J.H.: A dzieci nie zabierali?

H.N.: Nie, nie. Oni wychodzili rano i wracali wieczorem jedliśmy wspólny obiad, tyle wiem o tym święcie. I to jedyne święto, w które rodzice chodzili do... To raczej dla rodziny. No bo rodzina była bardzo nabożna. Gdyby rodzice nie przyszli, to byłaby tragedia.

J.H.: A nie było takiego zwyczaju, że potem szło się do rodziny na obiad?

H.N.: raczej nie. W domu pamiętam zawsze jedliśmy obiad.

J.H.: I inne święta też spędzaliście raczej we własnym gronie?

H.N.: Tak, tak. No do nas by nie przyszli.

J.H.: A nie zapraszali do siebie?

H.N.: Nie, nie. No bo myśmy byli trochę tak na indeksie.

J.H.: A sobót też nie spędzaliście jakoś szczególnie?

H.N.: No tyle, że ojciec nie szedł do pracy. Ale, jak spędzaliśmy ten czas, trudno mi teraz powiedzieć.

J.H.: A ze świąt żydowskich, jakie się u pani w domu kultywowało?

H.N.: No to była Wielkanoc, bo wtedy były mace w domu, z tym że chleb też był. To się jadło na jednym talerzu. Były mace i chleb. Gdyby rodzina to widziała, to chyba by nas wyklęła na całe życie. No...

J.H.: A jakieś typowe tradycyjne potrawy były?

H.N.: Były. Czulent na przykład. To było coś wspaniałego, ale to się przygotowywało w domu i zanosilo do piekarza na całą noc i się piekło. To było niebo w gębie, no mówię pani. Nie do opisania. To były ziemniaki takie przyrumienione, kasza, fasola... i co tam jeszcze było... no, w każdym razie to było wspaniałe. I to się wszystko mieszało razem i do tego jakiś tłuszcz, ale przeważnie z drobiu się dodawało. No wspaniała potrawa była. No a mama to robiła po królewsku. No i na przykład takie zimne nóżki, to się nazywało galer u nas. To były takie, wie pani, nogi. Ja to po wojnie to często robiłam, bardzo lubiliśmy to. To są nogi wołowe, się gotuje parę godzin. Później się to mięso od kości odłancza, mieli się i do tego czosnek, sporo czosnku się daje i się nalewa do takiej formy i to się zsiada. No to to... ja to bym teraz też chętnie zjadła, ale nie mam siły robić. No czasem ten mój opiekun przynosi, jak robi, no ale to nie takie, jak mama robiła. On robi z włoszczyzną i takie różne wie pani...

J.H.: I jeszcze jakieś pani potrawy pamięta, takie jej ulubione?

H.N.: takie... No i jeszcze do tego czylentu to się dodawało z marchwi i z czegoś tam jeszcze... to był taki deser, ale to się razem piekło. No to było... No moja mama to celowała w tych potrawach. Wspaniale gotowała te potrawy. I często zapraszała właśnie gości, znajomych...

J.H.: Ale Żydów?

H.N.: Żydów. Tak. No rodziny to raczej nie, bo i tak by nie jedli u nas. Ale robiła wspaniałe potrawy.

J.H.: I oprócz świąt Wielkanocnych jeszcze jakieś święta w domu były?

H.N.: Muszę se przypomnieć. O Wielkanocnych to pamiętam dokładnie. No były takie święta, że się wiedziało że są święta. Ale nie obchodziło się specjalnie. No bo to były raczej religijne święta.

J.H.: A święta nie związane z tradycją żydowską tylko na przykład z tradycją polską, były w domu?

H.N.: No były. Na przykład jak było Boże Narodzenie, to też były prezenty. Choinki to chyba nie było, nie pamiętam, żeby była, ale prezenty były jednak. Tu po wojnie to stałe miałam, no teraz w tym roku też miałam choinkę. Tylko nie miał mi kto prezentu przynieść. No mam taką, koleżanka córki, która... one się wychowywały razem i ja dobrze ja znam i ona często przychodzi do mnie i ona mi przynosi. No teraz na Walentynki... tylko teraz muszę wyrzucić, taka mi wiązankę przyniosła, z takim miśkiem o. To ja sobie z nim pogaduję od czasu do czasu, bo nie mam z kim. Więcej świąt nie pamiętam. Ty bardziej że czy człowiek starszy tym mniej pamięta. Chociaż się pamięta takie rzeczy, które się zdarzały w dzieciństwie. No na przykład pamiętam taki wypadek, byłam u koleżanki i bawiliśmy się w chowanego i ja spadłam ze schodów i miałam takiego guza. To akurat zapamiętałam.

J.H.: A teraz porozmawiajmy o pani domu rodzinnym, tym mieszkaniu gdzie pani się wychowywała. To było duże mieszkanie, gaz tam był, prawda?

H.N.: Nie, taki piec kaflowy, taka kuchnia. Jeszcze pamiętam, że spaliłam kiedyś razem z garnkiem mięso. Mam mi kazała przypilnować, bo wyszła, a ja się tak zaczytałam, że nawet nie czułam dymu.

J.H.: Ale to było duże mieszkanie?

H.N.: No to ostatnie mieszkanie to były cztery pokoje, z tymże jeden pokój zajmował sublokator. To myśmy mieli po pokoju i rodzice sypialnię. To było duże mieszkanie, ładne.

J.H.: A ten sublokator, to skąd on był?

H.N.: No gdzieś go rodzice znaleźli, ale nieprzyjemny pan. Nawet psy go nie lubiły.

J.H.: Ale też Żyd, czy...

H.N.: Tak.

J.H.: A pani wie, dlaczego rodzice w ogóle przyjęli sublokatora?

H.N.: No, ze względów finansowych, bo czteropokojowe mieszkanie drogo kosztowało. To także on płacił za komorne, to było łzej.

J.H.: Z tych mieszkań, gdzie pani mieszkała, to ostatnie było największe?

H.N.: Największe, tak.

J.H.: I tam była woda na przykład?

H.N.: Tak, woda była. I to było mieszkanie, właściwie gospodarza tego domu. On je opuścił i ono było bardzo zniszczone. Także remont tam był olbrzymi. I... ale on taniej policzył za komorne, dlatego rodzice wynajęli je. No i ta... jak przyjechałam po wojnie, to poszłam tam, zobaczyć jak to wygląda i ta dozorczyńca była ta sama, co przed wojną. Ona mnie poznała i powiedziała: „Idź na górę, tam mieszka lekarz w twoim mieszkaniu, tobie się to należy.” No a ja mówię: „Na co mi czteropokojowe mieszkanie, dla mnie samej?”, mówię „Rodziny nie ma, to co ja tam będę sama? Co ich będę wyrzucać?” I nie weszłam tam nawet.

J.H.: A pamięta pani, z dzieciństwa, jakieś pierwsze oznaki wrogości w stosunku do Żydów? Takiego antysemityzmu?

H.N.: No... Wtedy nie, raczej nie, dlatego że mieszkałam w otoczeniu Żydów, to nie odczuwałam tego. No, ale pierwsze wrażenie to było to, co pani mówiłam. Dopiero po powrocie, co powiedzieli: „Dlaczego Hitler zostawił jeszcze tylu Żydów?” A myśmy mieli przecież te, obozowe rzeczy na sobie, to się domyślili kim jesteśmy. Ja wtedy nie mogłam

sobie darować, że nie wysiadłam z tego pociągu i nie pojechałam gdzie indziej. No, ale tak mi przeznaczone było widocznie.

J.H.: A w pani domu, może tato... miał jakieś poglądy polityczne?

H.N.: No, ojciec należał do partii, to był Bund. Nie wiem, czy pani słyszała o tej organizacji? To nawet po wojnie miałam kłopoty przez to.

J.H.: Może pani opowiedzieć o tej organizacji.

H.N.: No, nie... Ojciec się nie dzielił z nami wrażeniami i nie sędzę, żeby tam specjalnie uczestniczył. No, ale należał do tego. No i po wojnie miałam grube kłopoty z tego powodu.

J.H.: Dlaczego?

H.N.: No bo Bunt, to była podobnież jakaś taka... Nie wiem, jaka to organizacja. Nawet mnie wzywali do Warszawy z tego powodu. Znaczy, że miałam się tłumaczyć. Mówię: „To wiecie, musicie wskrzesić mojego ojca i zapytać jego”. Albo mieli do mnie pretensje, że mój szwagier, czyli brat męża nie należy do partii. „Gadajcie z nim. Co ja mam do tego?” No były takie... No to był stalinowski okres, także...

J.H.: A do tej Warszawy, to kto panią wzywa?

H.N.: Zwierzchnictwo moje. Ale ja im wtedy powiedziałam parę słów do słuchu i dali mi spokój.

## KASETA NR 1

### STRONA B

H.N.: I jeszcze mi powiedzieli, że mój ojciec żyje, mieszka w Niemczech z córką i ma jakąś fabrykę. Ja mówię: „Czego? Kurzu? Śledzi? Czego?” Mówię: „Jak wy znacie adres mojego ojca, to mi podajcie. Nie zawracajcie mi głowy”. To później już mi dali spokój.

J.H.: Ale tato nigdy nie opowiadał, dlaczego to tego Bundu należy?

H.N.: Nie, na nie wiem. Widocznie, ktoś go tam wciągnął, ale nie sędzę, że by brał udział w jakiś takich... Wie pani, w pracach tej organizacji.

J.H.: A mama?

H.N.: Mama nie należała do żadnej organizacji, do niczego. Mam to miała robotę. Nam ugotowała, szyła, no... Przecież szyła nawet ojcu ubrania. Bardzo dobrze szyła. A moje ubrania to wszystkie były szyte przez mamę. Jeszcze pamiętam do dziś, miałam sukienkę zrobioną ze starych spodni ojca. Ale taka piękna była. Tu wyhaftowane takie kwadraty kolorowe, jeszcze ją widzę.

J.H.: I mama miała jakiś warsztat? Na czym mama szyła?

H.N.: Nie, nie, tylko dla nas, dla rodziny szyła.

J.H.: No, ale to miała jakąś maszynę chyba?

H.N.: A maszynę do szycia, oczywiście. No pamiętam, że uszyła sobie kostium, zimowy kostium z kołnierzem futrzanym, to ten krawiec, który szył mamie płaszcze takie rzeczy grubsze, to się strasznie na mamę obraził, że poszła do innego krawca. A ona to... ja widziałam, jak ona to szyła sama.

J.H.: Czyli mama musiała mieć jakieś takie wykształcenie, czy sama w domu się uczyła?

H.N.: No nie wiem, skąd ona tak umiała szyć. No ja miałam piękne rzeczy. I to wszystko szyte przez mamę i to z takich starych rzeczy. I dla brata szyła, i dla taty szyła, i dla siebie.

J.H.: Państwo w domu mówili w jakim języku?

H.N.: No rodzice to mówili przeważnie po żydowsku. Tym bardziej, jak chcieli, żebyśmy nic nie zrozumieli. A myśmy mówili po polsku. Ale znałam żydowski o tyle, o ile. Że mogłam się porozumieć, ale teraz to już ledwo, ledwo.

J.H.: A w tych gimnazjach, gdzie pani chodziła i pani brat, tam tylko hebrajski?

H.N.: Hebrajski, tak.

J.H.: Czy jidysz też?

H.N.: No i historia Żydów też była.

J.H.: Ale żydowskiego nie było?

H.N.: Nie, nie.

J.H.: A jeżeli chodzi o sytuację materialną waszej rodziny, to powodziło się raczej dobrze, tak?

H.N.: No, ojciec zarabiał, jak na tamte czasy nieźle. No jeszcze na święta, takie większe, to dostawał paczki. Bo to rodzina była, także... no... A jak mieliśmy wyjeżdżać na wakacje, to ojciec zawsze brał pieniądze na weksel, pożyczka i później oddawał.

J.H.: A gdzie państwo jeździli na wakacje?

H.N.: A, no... Na początku, jak byliśmy mali to Słotwiny, niedaleko pod Łodzią, ale ja nie wiem czy pani wie, gdzie to jest. Tka miejscowość, niedaleko Łodzi. A później, to już jeździliśmy do Muszyny, na przykład, w góry do Druzgienik, no to było polskie jeszcze przecież.

J.H.: Druzgieniki, to też w górach jest?

H.N.: Nie, to już było nad jeziorem. Na północy. To teraz, to jest Litwa. A wtedy to była Polska. Tam spędziłam wspaniałe wakacje, jak pamiętam.

J.H.: I często wyjeżdżaliście na takie wakacje?

H.N.: No, na lato.

J.H.: To znaczy wtedy, jak była przerwa w szkole?

H.N.: Tak, tak.

J.H.: I jeździliście tylko w czwórkę, czy ktoś jeszcze jeździł z wami?

H.N.: Nie, no ojciec tylko przyjeżdżał na urlop. No bo tak to pracował przecież.

J.H.: A tak, to jechaliście z mamą, tak?

H.N.: Z mamą. Oboje z mama i jeszcze ta moja przyjaciółka, jej rodzice też. I tak razem spędzaliśmy wakacje. Na przykład, jak jeździliśmy gdzieś nad wodę, to ten ojciec mojej przyjaciółki, to nas organizował. To chodziliśmy nad wodę, on nas uczył pływać i tak przyjemnie spędzaliśmy. Gimnastyka była codziennie rano, to on organizował też. Także przyjemne były te wakacje, pamiętam. No i poza tym, jak kończyła się szkoła, to on nas wszystkich, wszystkie dzieci zabierał na lody, takie lody włoskie, świetne. To do dziś pamiętam, jak już czekaliśmy na ten dzień.

J.H.: I gdzie chodziliście na te lody?

H.N.: Na włoskie lody, ale gdzie, to już nie pamiętam.

J.H.: Ale w Łodzi gdzieś?

H.N.: W Łodzi, w Łodzi. Tak. Pierwszego dnia zaraz, jak się kończyła szkoła.

J.H.: Czyli wy się trzymaliście tak z tą rodziną, jak ona się nazywała?

H.N.: Otelsberg. Mieszkaliśmy w tym samym domu. Oni na pierwszym piętrze, a my na trzecim. I ja się z tą dziewczyną chowałam razem. Siedziałyśmy na jednej ławce w szkole. W ogóle byłyśmy bardzo blisko, bliżej jak siostry chyba.

J.H.: A czym się zajmowali jej rodzice?

H.N.: A, oni mieli księgarnię na Piotrkowskiej 26.

J.H.: I tam sprzedawali, czy drukowali książki?

H.N.: Sprzedawali.

J.H.: Wróćmy na chwilę jeszcze do tych mieszkań, w których pani mieszkała. Czy był w nich na przykład ogród?

H.N.: Nie, nie.

J.H.: czyli nie uprawialiście nigdy żadnego ogródka...

H.N.: Nie, nie. No tylko w domu były różne rośliny.

J.H.: czyli mama dom prowadziła sama, nie miała żadnej pomocy?

H.N.: No czasem, jak robiła jakieś przyjęcie, to czasem kogoś wynajmowała do pomocy.

J.H.: A książki, dużo mieliście w domu książek?

H.N.: No ja to... od czwartego roku życia już czytam. I ja bez książki nie mogę żyć w ogóle. Wie pani, jak ja nie mam książki na noc, to ja nie usnę. Ja muszę mieć... O tutaj też leży książka. W dzień te... krzyżówki sobie rozwiązuję, muszę sobie jakoś czas zająć. Nie wychodzę. No tylko oglądam, jak coś jest ciekawego w telewizji.

J.H.: Ale w domu, pamięta pani, że tych książek dużo było? Rodzice czytali?

H.N.: Mama lubiła bardzo poezję. Bardzo. No tata to nie miał czasu, z pracy przychodził zmęczony, to już tak specjalnie... to gazety raczej czytał.

J.H.: Czyli w domu takie typowe książki to była poezja mamy... i takich religijnych żadnych nie było?

H.N.: Nie. Tego nie. Ja zawsze miałam książki w domu. No mówię pani, ja od czwartego roku życia nie mogę żyć bez książki.

J.H.: A jakie książki pani pamięta, które czytywała w dzieciństwie?

H.N.: na przykład czytałam Rolanda „Jan Krzysztof”. To pamiętam, że się zachwycalam tym. Ale ciekawe zjawisko. Spróbowałam to czytać po wojnie i jakoś nie mogłam se rady dać z tym. A przed wojna to byłam oszołomiona tym. Strasznie mnie się to podobało. Romeo Roland to jest autor. „Jan Krzysztof” i „Dusza zaczarowana”, ubóstwiałam. Nawet nie tylko. Przed wojną, cztery koleżanki z klasy napisałyśmy do niego list.

J.H.: Do tego Rolanda?

H.N.: Do tego Rolanda. On był Francuz. To przetłumaczył nam ktoś, już nie pamiętam kto, myśmy napisały po polsku, przetłumaczone było na francuski i on nam odpisał, co ciekawe. Taka była pocztówka, jego dom i on stoi na balkonie i napisał nam parę słów, że nam bardzo dziękuje i takie tam...

J.H.: Bo wy napisałyście ten list w takim tonie...

H.N.: Tak, że jesteśmy zachwycone jego twórczością, no już teraz nie pamiętam, ale... Ja byłam autorką tego, a ktoś nam przetłumaczył na francuski. Już nie pamiętam kto. I on nam też przysłał po francusku oczywiście, ale ktoś nam też przetłumaczył. No i później było losowanie, która ma zatrzymać, no bo nas było cztery, ale niestety ja nie wygrałam. A wygrała koleżanka, która niestety zginęła i ta kartka z nią.

J.H.: Jeszcze jakieś książki pani pamięta? A żydowskich autorów?

H.N.: No raczej nie. No teraz ja dopiero po wojnie czytałam, Singera na przykład, takie... te książki.

J.H.: Pani chodziła do gimnazjum żydowskiego, czy jakieś zajęcia po szkole pani miała, dodatkowe, na przykład lekcje muzyki...

H.N.: No uczyła mnie, to właściwie moja kuzynka, uczyła mnie angielskiego i uczyła mnie gry na pianinie. Bo myśmy mieli pianino nie nasze, tylko ktoś wstawił, bo groziły podatki to prosili, czy można u nas postawić. No to na mnie uczyła, dwa lata gry na pianinie. No to potrafiłam coś tam wydukać. No i uczyła mnie też angielskiego, ale z tego angielskiego to nic nie zapamiętałam, no bo... za dużo lat. Ale uczyłam się po wojnie angielskiego, tutaj w tym no... na Narutowicza 8... jak to się nazywa...

J.H.: Jakaś szkoła językowa?

H.N.: Tak, tak, tak.

J.H.: A ta kuzynka, to z czyjej strony, mamy czy taty była?

H.N.: Ta kuzynka? Chyba ze strony mamy.

J.H.: A skąd ona angielski umiała przed wojną?

H.N.: No bo ona, bo ona pracowała w fabryce, to się nazywało gendermen, oni takie... obecnie się nazywa adidas, oni takie... pantofle... I ona się tam nauczyła angielskiego i później pojechała do Anglii. Była dwa lata w Anglii. Także ona dobrze знаła angielski.

J.H.: Przed wojną to wszystko było?

H.N.: Tak, tak. A w czasie wojny, to szef jej zabrał ją do Anglii, a co się z nią działo dalej, to nie wiem.

J.H.: I ta kuzynka, jak miała na imię, pani pamięta?

H.N.: Chyba Halina.

J.H.: Ze strony taty to była kuzynka?

H.N.: Chyba ze strony mamy... ale nazwiska jej nie pamiętam. Nie, ze strony taty jednak była.

J.H.: Teraz porozmawiajmy o przyjaciółkach ze szkoły.

H.N.: Z jedna miałam kontakt po wojnie, to była córka dyrektorki, Wanda Rajn się nazywa. No teraz się nazywa inaczej, zapomniałam.

J.H.: Czyli ta szkoła, o której pani mówiła miała dyrektora i dyrektorkę, tak?

H.N.: No, dyrektor to był raczej taki honorowy, ten Ab. A dyrektorka była pani Rajnd, pamiętam.

J.H.: Rajnd?

H.N.: Rajn się nazywała. I jej córka to była organizatorką wszystkich figli w szkole. Ona nie mogła sobie z nią poradzić, ta mama. No i ona była u mnie, po wojnie przyjechała do mnie. Z mężem i... nie, z mężem tylko. Tu, któregoś dnia przyjechali. No, bardzo mi było miło. No mam jej adres, mam jej telefon, no ale to jest...

J.H.: I pani się najbardziej trzymała z nią? Pewnie z Lilą? I jeszcze jakieś koleżanki pani pamięta?

H.N.: No, po wojnie to już nie spotkałam żadnej.

J.H.: Nie, nie, ale przed wojną.

H.N.: No, przed wojną... to byłyśmy tak z sobą związane... raczej luźno.

J.H.: Jakieś wspólne zajęcia po szkole...

H.N.: No nie przypominam sobie. No, to jedno zajęcie, co pani opowiadałam, co mnie przyłapali.

J.H.: Ale takie wspólne zabawy po szkole, czy jak wracałyście to każda od razu do swojego domu szła, do obowiązków?

H.N.: No raczej tak.

J.H.: Na place zabaw...

H.N.: No, nie, raczej nie pamiętam tego. No pamiętam... takie różne były: Ala, nie pamiętam nazwiska... Ale wie pani, już żadnego kontaktu z nimi nie miałam po wojnie, a to już się nie pamięta. Tyle lat.

J.H.: Pani opowiadała o wakacjach, jak wyjeżdżaliście z rodzicami, a jeżeli chodzi o wychodzenie do restauracji... kiedyś, od czasu do czasu?

H.N.: Raczej nie, raczej w domu wszystko. No mama tak gotowała, że... po prostu... nie wolno było iść do restauracji.

J.H.: A pamięta pani, kiedy po raz pierwszy zobaczyła samochód, albo tramwaj?

H.N.: No, nie. Przecież, jak ja się urodziłam to już były samochody i tramwaje.

J.H.: No to kiedy pani po raz pierwszy siedziała, albo jechała...

H.N.: No, samochodem to raczej rzadko albo wcale.

J.H.: Nikt z rodziny nie miał samochodu?

H.N.: A skąd? Nie. Ojciec zarabiał nie najgorzej, ale jednak czteroosobowa rodzinę trzeba było utrzymać. Płacić komorne, światło, to tak na wszystko nie starczyło.

J.H.: A proszę mi powiedzieć, jak tata wyglądał?

H.N.: No ja go widzę teraz. Wysoki był, no ja właściwie jestem trochę do rodziny taty podobna. Do babci szczególnie. Ja jej nie znałam, ale wisiał u nas portret tej babci, to rzeczywiście. Podobna byłam do tej babci. Podobno była ładna ta babcia. To się cieszę. No, a tak to...

J.H.: Eleganckim mężczyzną był?

H.N.: Tak. Ubierał się zawsze porządnie. No nie powiem, żeby tak wykwiłtnie, ale zawsze porządnie ogolony, ubrany.

J.H.: A mama?

H.N.: A mama, to sobie szyła sama, to sobie mogła uszyć, co chciała.

J.H.: No ale tak... miała długie włosy, czy krótkie?

H.N.: No miała takie długawe i tak się czesała w taki wałek. Kiedyś to było modne. Na takim drucie to się taki wałek robiło. I to pamiętam jak mama se czesała te włosy, w ten wałek.

J.H.: Ciemne włosy miała?

H.N.: Ciemne.

J.H.: Nie nosiła peruki?

H.N.: Nie, nie, nie.

J.H.: O nosiła się też bardziej elegancko pewnie?

H.N.: Znaczy, tak porządnie, w każdym razie. To pamiętam. No, jak się gdzieś wychodziło, to zawsze miała takie na wychodne.

28.02.2005

KASETA NR 1

STRONA B

J.H.: Pni mówi, że zmienia swoje imię i imiona rodziców po wojnie. I w którym roku?

H.N.: Po wojnie, w 45.

J.H.: Czy chodzi o modę, czy obawiała się pani jakiś prześladowań?

H.N.: Nie, no... Chodziło mi o ewentualne dzieci. Jeszcze wtedy nie miałam. Żeby nie było na przykład syn Chaji, czy córka Chaji. No mąż to miał na imię Jakub. No to to może być i polskie i różne. Chodziło mi tylko o dzieci. No bo pamiętam, że strasznie się obawiał syn, jak szedł do szkoły, że by nie było... Ja mu powiedziałam, żeby się nie martwił, że jest syn Heleny i Jakuba. Także...

J.H.: A nie obawiała się pani, po nazwisku. To znaczy jak ktoś miałby wiedzieć, to i tak...

H.N.: Ja wiedziałam, ale nie chciałam dzieciom robić przykrości. Także wolałam, żeby było tak. Żeby w szkole nie przezywali ich... Taj to bywało, wie pani. Nie byliśmy kochani nigdy. No przed wojną, to się tego nie odczuwało, bo w Łodzi było ponad trzysta tysięcy Żydów. Także były takie skupiska i tego się nie odczuwało, ale po wonie to się odczuwało. Niestety.

J.H.: To pani robi pod wpływem własnych przemyśleń, nikt pani do tego nie namawiał?

H.N.: Nie, nie. Nikt mnie... Uważali, że powinnam zmienić nazwisko również, ale powiedziałam, że nazwiska nie zmienię.

J.H.: Ale kto uważał?

H.N.: No, znajomi, tam... w pracy. Powiedziałam: „Nazwiska nie zmienię, bo nie mam się czego wstydzić. Rodzice byli uczciwymi ludźmi.” No, syn to zmienił sobie nazwisko, ale bardzo późno, już po ślubie. Widocznie żona tego wymagała. On się teraz nazywa Nagórski. I ja... Powiedział nam, oczywiście, jak się na to zapatrujemy. Ja mówię: „To jest twoje życie, ty musisz decydować. Ja ci nie będę narzucać niczego”. No to zmienił nazwisko na Nagórski. Ale i tak, jak był ten okres Solidarności, on był działaczem Solidarności, to i tak wszyscy wiedzieli kim on jest, z kim był, kim byli rodzice i wytykali mu też, w różny sposób. Zresztą siedział też kilka miesięcy w więzieniu, za działalność w Solidarności. No, ale już jako Nagórski, nie jako Najberg.

J.H.: Pani mówi, że tata wojny nie przeżył i mama, to skąd w pani taka chęć zmiany nawet ich imion?

H.N.: No też zmieniałam. No jakoś tak. No trochę mody też w tym było, bo zmieniali Żydzi nazwiska, imiona, wszystko. A ja nazwiska powiedziałam: „Nie zmienię” i mąż nazwiska też nie chciał zmienić. Też go namawiali i nawet imion nie zmienił. Bo on się nazywa Jankiel Mojsze, po żydowsku. No Jakub, to już było przyjęte, że się nazywa Jakub, ale nie zmienił nazwisk. Nazwiska, ani imiona rodziców, ani swoich. I w dowodzie osobistym, czy paszporcie, to miała Jankiel Mojsze.

J.H.: Rozumiem, że skoro rodzice zginęli w czasie wojny, to tutaj nie ma żadnego grobu, żadnej macewy?

H.N.: Znaczy mojego męża... ja mojemu mężowi postawiłam bardzo ładny nagrobek.

J.H.: Nie, nie, nie, ja mówię o rodzicach.

H.N.: Rodzicach, no a skąd.

J.H.: No właśnie to ta zmiana imion, to jak ona praktycznie wyglądała?

H.N.: No to się zmieniało w papierach starych, w dokumentach. Są stare papiery, w tym urządzenie... miasta, są stare metryki urodzenia, to tam są i ze starymi imionami i z nowymi imionami.

J.H.: Czyli, jeżeli chodzi o rodziców, to to była moda bardziej?

H.N.: Tak, tak. Ale mój mąż nie zmienił żadnego imienia ani nazwiska.

J.H.: Teraz chciałabym się zapytać, co to jest ta wykańczalnia?

H.N.: No po farbie, to trzeba tam... Ja się nie znam na tym, ale tak się nazywała „Fabryka i wykańczalnia Cytryna”.

J.H.: Czyli to jest miejsce, gdzie szyto i wykańczano materiał?

H.N.: Tam nie szyto, tam tylko materiały produkowano.

J.H.: Czyli to może produkcja materiału i od razu barwienie materiału.

H.N.: Tak, tak, tak, tak. Tak to się nazywało i dlatego ja tak powiedziałam. Ale jak to tam wyrabiali i co, to trudno mi powiedzieć, bo nie byłam w tym... To znaczy mieszkałam tam całą wojnę, ale fabryka była wtedy oczywiście nieczynna, także ja nawet nie wiem, jak to tam wyglądało.

J.H.: Pani ciągle podkreśla, że pański dom to nie był taki ortodoksyjny, tradycyjny, a pani jednak dużo wie o kulturze, obyczajach, to skąd pani to...

H.N.: No bo z matką rozmawiałam, z ojcem, oni mi to wszystko opowiadali. No i jak chodziłam tam do tych ciotek, wujków, oni mieli takie tradycyjne domy, to widziałam, jak to się wszystko odbywa. No i matka właśnie te potrawy robiła, te typowe żydowskie potrawy. W ogóle tak gotowała po żydowsku.

J.H.: Pani mówi, że rodzice dobrze ze sobą żyli, a czy nie było między nimi takich sporów odnośnie tego, że ten wasz dom to nie był taki tradycyjny?

H.N.: Nie, na ten temat nie.

J.H.: Czy mama na przykład żałowała, bo bardziej była związana z tą tradycją?

H.N.: Nie, nie, nie. Oboje byli tych samych zapatrywań, także na tym tle konfliktów nie było nigdy.

J.H.: A pani wie, czy rodzina kiedyś wypominała rodzicom?

H.N.: No, na pewno. No przy mnie to się nie odbywało, ale na pewno, bo bardzo, bardzo byli niezadowoleni z tego, że u nas jest taki dom... postępowy.

J.H.: A teraz pytanie do pani, czy zastanawiała się pani, kiedyś w dzieciństwie, albo później, że wolałaby pochodzić z domu ortodoksyjnego?

H.N.: Nie, nie. Nie miałam takich ciągót.

J.H.: Bo pani mówi, że się spotykała z kuzynkami, które pochodziły z domów ortodoksyjnych i czy nie patrzyła pani na ich domy z taką nostalgią, że u mnie tego nie ma?

H.N.: Nie, nie. Bo, wie pani, te wszystkie zwyczaje, to ja znałam. Zwyczaje domów, takich żydowskich. Ale mi to nie przeszkadzało, że u nas tego nie ma. No bo taka wychowana byłam w tym duchu, także... Nie żałowałam tego.



J.H.: Opowiadała pani też o bracie ojca, najstarszym bracie, który ginie w pierwszym dniu wojny. I pani wie jak?

H.N.: No, umarł. Umarł śmiercią naturalną. Zdaje się, że na serce, czy coś tam. Ale akurat to się tak zdarzyło, że pierwszy dzień wojny to się stało.

J.H.: Czy mogła by pani bardziej dokładnie opisać ten zwyczaj rzucania butem? Bo ja powiem szczerze, ja pierwszy raz to słyszę?

H.N.: Więc to było tak. No ja też nie znałabym tego, gdyby nie... właśnie nie dotyczyło to mojego ojca. To był taki zwyczaj, jak została wdowa bezdzietna i chciała wyjść ponownie za mąż, to najstarszy brat męża zmarłego musiał jej dać takie jakby, takie... odpuszczenie... no, coś w tym rodzaju. To się nazywało haluca po hebrajsku. Co haluca znaczy dokładnie, to mi trudno powiedzieć. To by polegało na tym, że ojciec miałby tam wygłosić jakieś... wie pani... formuły z tej... Tory, dotyczące tego. I to jeszcze było... na to by się ojciec zgodził, bo to nie szkodziło nikomu, ale taki był głupi zwyczaj właśnie, że tam stali, zgromadzeni członkowie rodziny i ojciec po wygłoszeniu tej mowy musiałby zdjąć but i rzucić go w stronę tych ludzi. I kogo by ten but trafił, musiałby w tym roku umrzeć. I dlatego ojciec się nie zgodził.

J.H.: A dlaczego łączono śmierć członka rodziny z małżeństwem?

H.N.: No właśnie nie wiem, na czym to polegało, bo ja nie znałam Tory, nie znałam tak tych zwyczajów, no po prostu byłam świadkiem tego i dlatego to mi utkwiło w pamięci i później byliśmy bardzo prześladowani przez tą rodzinę.

J.H.: No właśnie, a dlaczego ta rodzina tak bardzo nalegała na wykonanie tego...

H.N.: No bo to był taki zwyczaj.

J.H.: Ona była ortodoksyjną rodziną?

H.N.: O, bardzo.

J.H.: I pewnie dlatego się obraziła na tatę, że nie chciał tego zrobić.

H.N.: No właśnie. Nie uzyskała tego rozgrzeszenia, to nie miała prawa wyjść za mąż. A ojciec powiedział: „Gdyby ona była młodą dziewczyną, czy kobietą, to ja bym się na to zgodził, bo żal by mi jej było. Ale kobieta po siedemdziesiątce sporo, to nie musi już mieć męża. Jakby żyła do tego czasu bez męża to wyżyje dalej, a ja takich barbarzyńskich metod nie będę stosował.” No i bardzo byliśmy prześladowani wtedy.

J.H.: A to rzucanie buta?

H.N.: No to, jak ta wdowa chciała wyjść za mąż, to się zbierała ta cała rada rodziny, ustalali termin i wtedy się rodzina zbierała i ojciec był w obecnej chwili najstarszym bratem, nie było więcej braci zresztą, no to ona miała to wykonać. Ale później pamiętam bardzo, bardzo byliśmy prześladowani. Szczególnie przez nią, no bo ona...

J.H.: Przez tą...

H.N.: Wdowę.

J.H.: Aha, czyli ona bardzo chciała wyjść za mąż?

H.N.: No tak, oczywiście. A ojciec powiedział, „Jak się obeszła tyle lat, to się obejdzie jeszcze dalej”. Bo ten brat był starszy od mojego ojca. Ten który umarł. To ona też nie była młodzianka. No to mówił: „Jak mogła wytrzymać, to i wytrzyma dalej”. I tak nie przeżyła niestety. Nikt z mojej rodziny nie przeżył.

J.H. To pani rozumiała takie wychowanie?

H.N.: Ale, ja znałam te wszystkie zwyczaje znałam, ale powiedziałam tej mojej kuzynce: „Przecież ty wiesz, w jakim ja domu byłam wychowana. Także nie żądaj ode mnie, żebym ja wykonywała te wszystkie...”

J.H.: I nigdy nie dyskutowałyście na ten temat?

H.N.: Nie.

J.H.: I nigdy nie było tak, że ona starała się pani coś wytłumaczyć, że robisz źle...

H.N.: Nie, nie absolutnie.

J.H.: Czyli w ogóle nigdy nie dyskutowałyście na ten temat?

H.N.: Na ten temat nie było dyskusji.

J.H.: czyli rozumiem, że rodzina tak bez słowa akceptowała, znaczy nie akceptowała, ale nie starała się przekabacić?

H.N.: Nie. To znaczy może z rodzicami rozmawiali na ten temat, ale z nami dziećmi to absolutnie nigdy.

J.H.: I pani potem mówi, że ona wyjeżdża do Holandii i mieszka w Holandii?

H.N.: Nie, w Belgii.

J.H.: To przy jakiej okazji ona wyjeżdża?

H.N.: Ona wyjechała jeszcze przed wojną.

J.H.: I ona tam wyszła za mąż?

H.N.: Tak. Bo, moja ciotka, matki siostra, to ona mieszkała ze Francji. To ona najpierw mieszkała z nią, to to była jej ciotka też, mieszkała we Francji, a później w jakich okolicznościach przeniosła się do Belgii, trudno mi powiedzieć. I tam wyszła za mąż, ale za polskiego obywatela, tyle że po polsku mówił bardzo słabo. Na przykład, jak myśmy siedzieli przy śniadaniu i były jajka na twardo, to: „Zjedzcie te oboje jajki”, no tak mówił mniej, więcej po polsku. Już tyle lat był w Belgii i w polskim nigdy nie był dobry, bo... Nie chodził do polskiej szkoły tylko do tych chederów... Także w Polsce też nie mówił z byt dobrze po polsku. Ale, w jakich okolicznościach oni się tam poznali, to trudno mi powiedzieć.

J.H.: I rozumiem, że ona tam zakłada swoją rodzinę, ma dzieci...

H.N.: Nie. Dzieci nie mieli.

J.H.: To kto ją tam chowa? Tam w tym Izraelu?

H.N.: No, widocznie mąż. Zorganizował. Bo ona tak w testamencie zastrzegła sobie, że chce być pochowana w Izraelu. No, bo ona była wyjątkowo pobożna. No to jest już... do przesady.

J.H.: I rozumiem, że ślub pani rodziców, to nie był taki tradycyjny ślub żydowski?

H.N.: No, trudno mi powiedzieć, nie byłam na tym ślubie także...

J.H.: Ale nie opowiadali rodzice?

H.N.: Nie, nie, nie.

J.H.: pani mówi często, że „moja córka nazywa się po...”, „mój syn nazywa się po...” kimś, to jest takie charakterystyczne dla tradycji żydowskiej, nazywanie imionami po zmarłych osobach. Pani też o tym myślała?

H.N.: No, nie. W polskiej kulturze to też tak jest. U mnie to nie było obowiązkowo. Ja chciałam tego. Po prostu o pamięć chodzi. Mój syn ma dwa imiona Jerzy Bronisław, Jerzy to był po moim bracie, a Bronisław to był po jego dziadku.

J.H.: teraz, jeżeli chodzi o szkołę Aba, to była szkoła prywatna?

H.N.: Tak.

J.H.: I na jakiej ulicy ona się mieściła?

H.N.: Na Zielonej 8.

J.H.: pani mówi, że rodzice czasem wychodzili wieczorami, pani pilnowała brata. Rodzice gdzie wtedy wychodzili? Chodzili do teatrów, do kina?

H.N.: No tak, czy do znajomych, czy ze znajomymi gdzieś wychodzili.

J.H.: Czyli pani dom był na bieżąco ze zmianami w kulturze... nowe spektakle, czy od razu pani rodzice chodzą...

H.N.: No nie chodzili tak często, ale chodzili. Matka szczególnie lubiła bardzo.

J.H.: A zastanawiała się pani kiedyś... bo pani mówi, że wojnę to właściwie tylko pani przeżyła z rodziny...

H.N.: Z najbliższej rodziny tylko ja.

J.H.: To zastanawiała się pani kiedyś nad tym, dlaczego się tak stało, że pani miała najwięcej tej siły, czy najwięcej szczęścia, czy to był przypadek?

H.N.: No... trudno było powiedzieć.

J.H.: Bo tak naprawdę mężczyźni z pani rodziny ginęli...

H.N.: No, matka też zginęła.

J.H.: ja rozumiem, ale chodzi mi o to, że pani, jako kobieta młoda, dziewczyna, takie kruche właściwie stworzenie, a mimo wszystko, przetrwało...

H.N.: I tyle tych obozów przeszłam przecież. No nie wiem dlaczego.

J.H.: Czy to siła charakteru?

H.N.: Może. Ja jestem z natury optymistką. Wie pani, ja miałam kiedyś wypadek samochodowy, po wojnie i leżałam rok w łóżku z gipsem takim, do pasa. Bo miałam kość udową... Samochód mnie uderzył i miałam złamaną. I mimo wszystko miałam humor, potrafiłam żartować, ludzie się nawet dziwili, jak ja to znoszę. To było bardzo bolesne wszystko. Cały czas musiałam na wznak leżeć. A mimo to, jakoś miałam humor, potrafiłam żartować, potrafiłam opowiadać różne rzeczy. I się dziwili. Nawet do tego czasu... przecież ja się... cierpię. I staram się nie pokazywać tego po sobie. No, taki mam charakter po prostu. I może to mnie uratowało. Bo w Oświęcimiu to bardzo dużo... bez przesady, ale dużo kobiet, boja w kobiecym byłam obozie, rzucało się na te... druty naelektryzowane i ginęły, bo już nie miały siły przeżyć. A ja jakoś starałam się przetrwać to wszystko. Może to mnie uratowało.

J.H.: A myślała pani wtedy o przyszłości, czy o przeszłości?

H.N.: No, nawet nie wiedziałam, co mam myśleć o tej przyszłości, bo nie spodziewałam się że przeżyję to wszystko. To były straszne cierpienia przecież. I fizyczne i psychiczne. Ja się sama do dzisiaj dziwię, że przeżyłam to wszystko i jeszcze tyle lat po tym, że w ogóle urodziłam dzieci. Co do tego miałam wątpliwości, czy po tych przeżyciach będę mogła mieć dzieci. Ale, jakoś, na szczęście udało się dwoje dzieci spłodzić i urodzić.

J.H.: Pani mówi, że bardzo często się przeprowadzacie. To przeprowadzacie się ze względu na sytuację finansową, jakieś prześladowania, czy...

H.N.: Nie, na prześladowania na pewno nie. Tu na Żeromskiego, to tak słyszałam, bo nie pamiętam, byłam małym dzieckiem, to było ciasne mieszkanie, małe. No tutaj na 11 Listopada, to już było większe, a na Próchnika, czyli na Zawadzkiej dawnej, no to już były cztery pokoje, no to widoczne może tata dostał podwyżkę? No i mama też bardzo oszczędna była. Sama gotowała, sama szyła, także jakoś się lepiej żyło.

J.H.: I te potrawy, które pani mówi mama tak świetnie gotowała, to mama uczyła panię jak je robić, wpuszczała do kuchni?

H.N.: Wpuszczała, tak wpuszczała. No i ja dużo rzeczy po wojnie gotowałam według mamy przepisu i wszystkim bardzo smakowało.

J.H. I przy okazji opowiadała pewnie też o tej kulturze i obyczajowości?

H.N.: Tak. No i opowiadała o swoim życiu też, bo przed poznaniem taty, to miała jakiegoś... to był jej kuzyn, ale bardzo go kochała. Stale opowiadała o nim. I on przyjechał, no... jakieś dwa lata przed wojną, chyba, przyjechał tutaj. No matka była bardzo podminowana, pamiętam, że się krzątała, nie wiedziała co z sobą zrobić. No... stara miłość nie rdzewieje podobno.

J.H.: I on był ortodoksyjnym, czy nie?

H.N.: No nie wiem, bo on mieszkał w Ameryce Południowej.

J.H.: Ale, jak przyjechał to było widać, że ortodoksyjny?

H.N.: Nie. Normalnie u nas jadł. Nie przeszkadzało mu, to widocznie nie był ortodoksyjny.

J.H.: A tacie nie przeszkadzało, że się tutaj krząta?

H.N.: Nie, nie tata był bardzo taki... tolerancyjny.

J.H.: pani mówi, że mama bardzo dobrze szyła, raz sobie uszyła taki kostium i że ten krawiec...

H.N.: tak, taki kostium zimowy z kołnierzem z futra i krawiec nie chciał wierzyć, że sama to uszyła?

J.H.: I pani wie, kim był ten krawiec?

H.N.: Oj to nie wiem.

J.H.: Albo, gdzie miał warsztat?

H.N.: Mieszkał też gdzieś na Zawadzkiej, ale ja tam nie chodziłam, bo przecież nie szłam se u niego, tylko mama, tylko opowiadała mi, że ją spotkał na ulicy i się strasznie pogniewał, że poszła do innego krawca. Przysięgała, że sama szła, nie chciał wierzyć.

J.H.: Bo to chyba dosyć drogie było przed wojną?

H.N.: No, oczywiście, wszystkie usługi są zawsze... raczej nie są tanie. To znaczy mama jak tylko mogła to szła sama, tylko jakieś płaszcze zimowe, no takie rzeczy to już szła u krawca.

J.H.: Pani także opowiadała, że zawsze na koniec toku ojciec pani przyjaciółki zabierał was na lody. A w ciągu roku, na przykład, czy były w domu cukierki, słodczyce.

H.N.: były, były.

J.H.: czyli nie brakowało wam niczego?

H.N.: No, zresztą matka piekła wspaniale, także w domu zawsze było ciasto. Co tydzień było upieczone ciasto. Tego nam nie brakowało akurat. No ja też byłam dosyć korpulentna, przed wojną.

J.H.: Pani też opowiada, że mam często organizowała przyjęcia. To znaczy ten wasz dom to był taki otwarty bardzo dla ludzi?

H.N.: tak. No zresztą matka tak dobrze gotowała i piekła, że wszyscy bardzo chętnie do nas przychodzili. Naprawdę. Ja pamiętam jeszcze teraz smak tych potraw, które mama gotowała. I to było wszystko takie raczej typowo żydowskie potrawy.

J.H.: czyli, dużo osób przychodziło do domu?

H.N.: No, sporo. Pamiętam, że w tej jadalni to cały stół był rozsuwany i zajęty. No, jak tylko mama zapraszała ludzi, to biegiem...

J.H.: A często tak było?

H.N.: No, nie no... no było, ja wiem, co miesiąc, co dwa. Zależy. Jak były jakieś święta, no różnie to bywało.

J.H.: I pani też mówi, że mama czyta przede wszystkim poezje, a tata gazety.

H.N.: Tata gazety przeważnie.

J.H.: A jakie gazety?

H.N.: No gazety różne. Tego nie pamiętam, ale wiem, że i żydowskie i polskie. Bo i ja przed wojną czytałam dobrze po żydowsku. No teraz też potrafię niektóre słowa odcyfrować, ale już...

J.H.: A nie pamięta pani tytułów?

H.N.: Nie pamiętam.

J.H.: I teraz drążę cały czas temat książek, które pani przed wojną czytała...

H.N.: Rollanda „Jan Krzysztof”, czy „Dusza oczarowana”, to były moje ulubione książki.

J.H.: Ale ja nie czytałam tych książek. To jakie one są, to są przygodowe książki...

H.N.: Nie, nie. To są o życiu ludzkim, takie psychologiczne raczej. I powiem, że po wojnie usiłowałam tego „Jana Krzysztofa” przeczytać i nie dałam rady, jakoś mi było za trudno. Może mądrzejsza byłam przed wojną jak po wojnie. No nie wiem.

J.H.: Mówi pani też, że uczyła się gry na pianinie, u tej kuzynki...

H.N.: tak, przed wojną się uczyłam.

J.H.: I ta kuzynka w jakiej pracowała firmie?

H.N.: Takie obuwie sportowe. Zapomniałam jak się ta firma nazywa. Aaaa. Gendermen. Te buty się nazywały gendermen. I tej fabryki bodajże też. Bo pamiętam, że szef tej firmy zabrał kuzynkę do Anglii, jak się wojna zaczęła.

J.H.: Bo ta była fabryka żydowska?

H.N.: Chyba tak.

J.H.: A nie angielska?

H.N.: No, może. Cos tam angielskiego musiała... Może jakiś wspólnik, tego... Nie wiem. No i słuch o niej zaginął od tego czasu, jak wyjechała do Anglii. Ni e wiadomo czy żyła...

J.H.: Czyli żydowska firma, ale z jakimś angielskim...

H.N.: No tak, bo tak się nazywała.

J.H.: A pamięta pani, gdzie ta fabryka była?

H.N.: Nie.

J.H.: Ale w Łodzi?

H.N.: W Łodzi tak. Ale adresu nie pamiętam.

J.H.: Teraz chciałabym, żebyśmy porozmawiały o tym okresie tuż przed wojną. Ani chodzi do tej szkoły Aba. I potem dalej gdzieś się pani kształci, przed wojną?

H.N.: Nie. W ogóle, to takie pomysły były. No jeszcze daleko przed wojną. Ja miałam kuzynkę, nie wiem czy jeszcze żyje, w Szwajcarii. Ona tam wyszła za męża I ona powiedziała, jak skończę szkołę średnią, to ona mnie zabierze do Szwajcarii i tam będę studiować. Ale niestety do tego nie doszło. Ja po wojnie napisałam na adres, który zapamiętałam, ale nie dostałam ani zwrotu, ani odpowiedzi. Także nie wiem co się stało i nie miałam z nią już żadnego kontaktu. A jej ojciec, to był brat mojej mamy.

J.H.: Czyli wojna zastaje panią tutaj w Łodzi?

H.N.: Tak.

J.H.: Czy może pani opowiedzieć ten moment, albo jeżeli pani pamięta ten okres przed wojną?

H.N.: Dla mnie dziwny. No trudno mi było... Ja jeszcze smarkata byłam wtedy.

J.H.: A ile pani miała lat wtedy?

H.N.: Szesnaście. Także pamiętam tylko ten moment, jak wyszłyśmy z koleżankami ze szkoły na... tutaj na Plac Wolności. I tutaj Niemcy weszli. To było dla mnie szokujące, no bo nie wiedziałam... jak na to zareagować. No tyle tylko, że się do szkoły nie chodziło. To my... te smarkule zadowolone byłyśmy z tego, że do szkoły nie idziemy. No, ale dopiero później się okazało, kto to są ci Niemcy i co oni robili z ludźmi. No to to było... straszne. No pamiętam, że dobry znajomy mojego ojca, razem pracowali w tej fabryce, tam gdzie ojciec pracował, to przyszedł do nas... No myśmy do geta, w maju nas wygonili 40 roku... Nie... No tak 40. To on przyszedł do nas i powiedział, że on te meble zabiera, bo po co ma ktoś obcy zabrać, lepiej żeby swój. No i już nie mogliśmy nawet reagować na to, bo on był panem świata wtedy. No i pamiętam ten moment, jak nas wyganiali tam. Z takim wózkiem ręcznym... parę gratów, co nam wolno było zabrać... I tam, tam się właśnie przenieśliśmy na tą Wolborską... 44 chyba, tam do tego budynku, gdzie mieszkali... to wujostwo. No i na początku to było jako tako. Wprawdzie to była suterena, jeden pokój i taka mała kuchenka, czy nawet hol taki. No, ale mieliśmy dach nad głową. No i tam mieszkaliśmy do końca, dopóki nas nie wysiedlili do tego... Nie, jeszcze przedtem, bo to był ostatni dom przy granicy getta. Także, w ostatnim, gdzieś w 44, nas przenieśli na Wolborską 46, no bo za blisko granicy. Także tam nie wolno było nikomu mieszkać. I stamtąd nas dopiero wysiedlili do Oświęcimia.

J.H.: A pamięta pani, co to za kuzyn wtedy przyszedł do ojca? Zabrać te meble?

H.N.: To... wiem, że pracował tam gdzie ojciec, ale jak się nazywał.

J.H.: To Polak był?

H.N.: Niemiec.

J.H.: A pamięta pani atmosferę tuż przed wojną, w 39. Pani, jako dziecko niepokój w sobie czuła? No bo Hitler dochodzi do władzy w 33, prawda. Już cos się dzieje?

H.N.: No, bo przecież ja miałam dwóch wujków w Niemczech. Jeden mieszkał w Bytomiu, a drugi mieszkał w Berlinie. I ten z Bytomia zabrał mnie do siebie... także były Niemcy Bytom przed wojną. I w wieku czterech lat ja tam byłam. Już się nauczyłam dobrze mówić po niemiecku. Miałam zdolności językowe. I psa mieli takiego dużego i ja sobie na nim jeździłam. Taki fajny pies był duży. Wołtan się nazywał. Jeszcze do dziś pamiętam, jak ciotka

dawała mu koszyczek, do pyska, w koszyczku pieniądze i spis rzeczy, które trzeba kupić. I ci wszyscy sklepikarze go już znali, to wyjmowali karteczkę i pieniądze, wkładali mu te produkty, on przynosił wszystko na górę, elegancko. A świetny piec był, naprawdę. A ja się strasznie lubiłam z nim bawić.

J.H.: Ale, dlaczego pani tam do Bytomia wyjeżdża?

H.N.: No, chcieli nas. A oni nie mieli dzieci, no to chcieli jakieś dziecko. Na parę miesięcy wyjechałam.

J.H.: Ale, w domu jakaś taka atmosfera nerwowa. Tata przychodzi, rozmawia z mamą?

H.N.: No, na pewno było, było. No bo sam fakt, że... to już później było, mnie zabrali jak miałam cztery lata. To był 27 rok, to jeszcze nie było wiadomo co będzie. Także wtedy, to jeszcze nie. Dopiero jak w 33 roku moi wujowie przyjechali do Polski, bo tam już trudno było wtedy wytrzymać, to wtedy to już się odczuwało. Tą atmosferę, ten lęk przed tym, co nastąpi. Bo przecież wiadomo było, kim był Hitler no i tutaj... później wyjechał ten starszy...

28.02.2005

KASETA NR 2

STRONA A

H.N.: Od 33 roku, to już bardzo się baliśmy. Pamiętam, że stale się o tym rozmawiało.

J.H.: I pamięta pani co się mówiło?

H.N.: No mówiło się, że nie wiadomo co się stanie i jak my skończymy w ogóle. No bo ci wujowie dlatego przyjechali, bo tam byli prześladowani, w Niemczech.

J.H.: Ale tutaj, w Polsce jakieś prześladowania panią i pani rodzinę dotknęły, czy to tylko były opowiadania tych wujków?

H.N.: Nie, tylko opowieści, bo my akurat mieszkaliśmy w dzielnicy, gdzie bardzo dużo Żydów było, mniej Polaków jak Żydów. Także nie odczuwało się tego.

J.H.: A pamięta pani dokładnie ten wybuch wojny, gdzie pani jest pierwszego września? Bo pierwszy wrzesień to teoretyczne dzieci do szkoły idą, po wakacjach.

H.N.: No właśnie, miałyśmy iść do szkoły, bo ja tylko małą maturę mam, nie zdążyłam dalej się... uczyć. I od pierwszego września miałyśmy iść do szkoły, ale tu wiadomość, że wojna, szkoły zamknięte. To właśnie poszłyśmy wtedy na Plac Wolności, tam...

J.H.: I tam właśnie zobaczyłyście...

H.N.: Ale, to nie było pierwszego września, tylko któregoś tam września, nie pamiętam którego dokładnie. Chodziłyśmy tam codziennie na ten Plac Wolności...

J.H.: A dlaczego akurat tam?

H.N.: No czułyśmy, że tu się będzie coś działo. No i faktycznie, tutaj zobaczyłyśmy pierwszy raz tych... Szwabów, psia kość, nie chcę się wyrazić gorzej.

J.H.: A w domu, czy tego pierwszego września, czy w ogóle we wrześniu panika panowała?

H.N.: Panika tak. Już przeczuwaliśmy, że nie zostawią nas tutaj. No bo już słyhać było, że do get wyganiają, no i tutaj otworzyli to geto. To było w tej... na Bałutach, Limanowskiego, Wolborska, tutaj... tamte ulice.

J.H.: A pamięta pani, jak ojciec z mamą przygotowywali się do tego?

H.N.: No pamiętam, że bardzo smutno było w domu wtedy. No wolno było tylko zabrać te... podręczne rzeczy. Tylko pamiętam ten wózek, no bez konia oczywiście, tylko trzeba go było pchać, parę walizek było, no i... tam, najpotrzebniejsze rzeczy, bo nic innego nie wolno było zabrać.

J.H.: Ale przygotowywaliście się do tego jakiś długi czas, że już tam mama się powoli pakowała?

H.N.: No mama... wiem, że kupiła cukier, wtedy można było kupić jeszcze takie rzeczy, bo wiadomo było że już źle będzie z żywnością i w 42 roku pamiętam, mama miała walizkę pod łóżkiem i wyciągnęła tę walizkę, bo chciała coś tam... bo nie było gdzie wszystkiego położyć i znalazła dwa kilogramy cukru. To była taka radość, jak byśmy znaleźli jakiś skarb. No bo cukier, to nie był do kupienia w getcie przecież.

J.H.: I ta informacja, że musicie się wynieść z domu, to przyszedł jakiś Niemiec i powiedział?

H.N.: Tego właśnie nie pamiętam, jakoś to mi nie utkwilo w pamięci. Jak to się stało, że musieliśmy opuścić dom.

J.H.: I nikt wam nie pomagał, żaden z Polaków tutaj nie przyszedł?

H.N.: Nie.

J.H.: Zabierać rzeczy, czy pomagać wam...

H.N.: Nie, nie. Pamiętam tylko tego Niemca, co po meble przyszedł i powiedział, że lepiej jakby swój wziął, jak obcy.

J.H.: Bez żadnej zapłaty wziął te meble?

H.N.: Zapłaty? Jeszcze by trzeba było jemu zapłacić, że wziął te meble?

J.H.: Czyli w maju 40 roku państwo się przenoszą do geta?

H.N.: Tak.

J.H.: No i w tym getcie jak się żyje na początku?

H.N.: No ciężko, bardzo ciężko. No i jeszcze nie mieszkaliśmy sami, tylko jeszcze matka tej mojej przyjaciółki, z synem, z jej bratem, który był o rok od niej starszy, mieszkali razem z nami.

J.H.: A ta przyjaciółka też?

H.N.: To była jeszcze przyjaciółka matki z czasów panieńskich. A jej córka była moją przyjaciółką z kolei.

J.H.: no i ta pani przyjaciółka też z panią mieszkała?

H.N.: Nie. Ona mieszkała w Warszawie, z ojcem i najstarszym bratem. A ten brat, to właściwie przyrodni brat, bo to było dziecko... syn matki, ale z innego ojca. To jeszcze pamiętam Benek się nazywał. Jeszcze widzę ich.

J.H.: To dlaczego oni się tak rozdzielili?

H.N.: To wojna tak jakoś, takie losy wojenne. Trudno mi... To jest sześćdziesiąt lat, trudno pamiętać. Tylko wie, że ona od razu się wprowadziła z nami do tej piwnicy i z tym synem. A on się jakoś znalazł w Warszawie, no nie wiem jak to... jak to było, trudno mi powiedzieć.

J.H.: I wy mieszkacie w piwnicy?

H.N.: Tak. Dopiero później, jak się przenieśliśmy na Wolborską 36, to już było normalne mieszkanie.

J.H.: I ta piwnica to była tak, jak jeden pokój?

H.N.: Jeden pokój i jakaś kuchenka, czy korytarzyk, w każdym razie jakaś kuchenka była, bo na początku mieliśmy gaz, przeprowadzili nam ten gaz, ci... wujostwo, ale potem, jak ojciec odmówił tego, wie pani, rozgrzeszenia, to nam gaz odcięli. Bardzo nas przesladowali.

J.H.: I co to było za wujostwo?

H.N.: No to była siostra taty.

J.H.: Jak oni się nazywali?

H.N.: Cytrynowie.

J.H.: I teraz mam pytanie, tam meble jakies były w tej piwnicy?

H.N.: No wiem, że łóżka była, ale czy szafa była to nawet nie wiem. Ale chyba nie, bo wiem, że na drzwiach wisały ubrania, gdzieś tam, wie pani.

J.H.: A mogłaby pan określić, ile to mogło być metrów kwadratowych?

H.N.: Oj, to bardzo niewielka przestrzeń była.

J.H.: Mniejsza niż ten pokój?

H.N.: No może razem wszystkie pomieszczenia, to były jak ten pokój. No, ale tam było nas sześcioro w tym jednym pomieszczeniu.

J.H.: czyli pani...

H.N.: Brat, rodzice i ta przyjaciółka z synem.

J.H.: pani wie, jako ona się nazywała?

H.N.: Otelsberg.

J.H.: A pani wie, skąd te łóżka były tam. Wy przywieźliście je z sobą?

H.N.: Nie zdaje się, że to wujostwo tam... jako tako urządzili.

J.H.: I czym się w tym getcie rodzice zajmują teraz?

H.N.: No matka była w domu, no przed wojna też nie pracowała. A ojciec jeszcze tam im pomagał, temu wujostwu.

J.H.: Cytrynom?

H.N.: Tak. Ale ojciec był bardzo bojaźliwy i pamiętam my nie mieliśmy czym palić w tej kuchence, a tam było dużo drzewa, to ojciec w nocy wychodził i przynosił trochę drzewa, żeby było czym podpalić trochę w tej kuchence, to taki był przestraszony, błąd: „Nie widzieli mnie, nie widzieli mnie?”.

J.H.: Tym Cytrynom podkładał?

H.N.: Tak. Ja mówię: „To jest tak samo twoje, jak i ich. Jesteście rodzina przecież i oni sami powinni dać, bo przecież wiedzą, że nie mamy czym palić”. No ja byłam taka bardziej bojowa.

J.H.: A pani i pani brat, jak spędzacie ten czas. Siedzicie w tej piwnicy, wychodzicie na dwór?

H.N.: No wychodziliśmy, ale później, to nawet ciężko było wychodzić, bo bardzo dużo było trupów na ulicach. Panowała taka choroba, się nazywała cholerynka, bo była podobna do cholery i ludzie marli jak muchy. Także było bardzo, bardzo ciężko, nawet się bałam wychodzić na ulicę, bo leżały trupy przykryte gazetami po prostu i podjeżdżały takie wozy i te ciała tak jeden na drugim, bez trumny, tak wieźli na ten cmentarz. No to straszne były czasy. Głód. No, jak ktoś miał pieniądze, to mógł sobie coś kupić, bo był czarny rynek, no ale myśmy pieniędzy nie mieli, bo nikt nie zarabiał.

J.H.: tata już wtedy nie zarabiał?

H.N.: No nie. To tylko tyle, co dawali na te kartki. To było za dużo, żeby umrzeć, za mało żeby żyć. No... To było bardzo ciężko.

J.H.: A pani pracowała w getcie?

H.N.: Tak, najpierw pracowałam, bo ci Otelsbergowie mieli księgarnię przed wojną i oni zabrali sporo książek, jakoś im pozwolili i otworzyli tu bibliotekę.

J.H.: W getcie?

H.N.: W getcie. I ja tam pracowałam w tej bibliotece, znaczy wymieniałam książki po prostu, no bo kupić nie było gdzie, tylko to, co było. A później to już obowiązkowo wszyscy musieli pracować, to pracowałam w tzw. Szopie, taki, z angielskiego się nazywało szop i obdzierałam te, te... dziurki, wie pani...

J.H.: Do guzików?

H.N.: Do guzków, w mundurach oczywiście, ale to była obowiązkowa praca.

J.H.: I pamięta pani, od którego roku tak musi pracować obowiązkowo?

H.N.: Chyba od 42, cos tak... Nie pamiętam dokładnie.

J.H.: A ta wypożyczalnia, to była wypożyczalnia książek?

H.N.: Wypożyczalnia

J.H.: pani pamięta na jakiej ulicy?

H.N.: Na Wolborskiej to było. Naprzeciwko naszego domu.

J.H.: I to też było w jakimś pomieszczeniu mieszkalnym?

H.N.: To było takie duże pomieszczenie pamiętam. On postawił półki, jak jeszcze tu był w Łodzi i tam postawił te książki i ludzie nie płacili, ale każdy kto chciał wymienić jakąś



książkę to musiał przynieść swoja jakąś. No bo nie było gdzie kupić, nie było gdzie uzupełnić. A zima to tam było strasznie, to ja musiałam siedzieć w rękawiczkach i się trzęsłam. No kilka godzin tam siedziałam. Nawet później, jak tam pracowałam w tym szopie, to po powrocie z pracy szłam tam do tej księgarni. Strasznie tam marzłam.

J.H.: I cieszyła się ta biblioteka dużym powodzeniem?

H.N.: Tak, tak. Ludzie nie mieli, co robić, no to chociaż zapominali, jak coś czytali. Ale w końcu zaczęli się ze mną kłócić, bo już wszystko było przeczytane, a nie było nowych. No mówię: „A co ja mam zrobić. No co wezmę książki z nieba, no co? Nie spadają jakoś”. No i także, jakoś... Ciężka praca, no bo laziłam po tych półkach, musiałam szukać książek i strasznie zimno, no latem to jeszcze do wytrzymania, ale zimą było okropnie.

J.H.: A wie pani, ile tych książek tam mogło być?

H.N.: No kilkaset chyba było. No ale co to na tyle ludzi? I ludzie bardzo szybko czytali, bo nie mieli nic do roboty. To żeby zapomnieć, zagłuszyć trochę ten ból, to ponizenie, to chociaż se chcieli poczytać.

J.H.: A chodziła pani do szkoły w getcie?

H.N.: Nie, nie było żadnych szkół w getcie, tylko pracowałam na dwa etaty.

J.H.: A może pani opisać getto, jak ono wyglądało?

H.N.: No, mówię pani, jak się wyszło na ulicę, to się widziało tylko trupy przeważnie.

J.H.: Ale to już od samego początku?

H.N.: No nie od pierwszego dnia, ale po paru miesiącach, jak ludziom się zapasy wyczerpały. I z głodu niektórzy umierali, niektórzy z chorób. Lekarze tam jacyś byli, ale jak leków nie było, to jak mieli leczyć? No moja matka to cierpiała na żółciowe kamienie, to pamiętam strasznie cierpiała tam była jakaś pielęgniarka i robiła matce sondy. Jakoś... Także się lepiej czuła, ale do końca chorowała na to. I ja odziedziczyłam tę chorobę i miała po wojnie operację.

J.H.: A pani wie jak te sondy robiono, co to było?

H.N.: No ja widziałam, taką rurkę wkładali przez przelyk i cos tam wyciągała jakieś, z woreczka żółciowego... także matka później to zwracała i było jej lżej.

J.H.: W getcie ginie ktoś z pani rodziny?

H.N.: No nie w samym getcie to nie.

J.H.: Ale trzymaliście się tak razem?

H.N.: No mówię pani, jak ta rodzina nas prześladowała, jak ojciec nie rozgrzeszył tej starej kobity, która chciała ponownie wyjść za mąż. No... To tak to jest. I w takich ciężkich warunkach, jak wszyscy sa tak prześladowani, to jeszcze ona nad nami...

J.H.: Czyli nie doszło do zacieśnienia tych więzów?

H.N.: Nie, raczej nie. Po tym, to już na pewno nie.

J.H.: A atmosfera w domu, ja rozumiem, że ciężka, ale czy rozmawia się o tym głośno w domu?

H.N.: No nie... tylko pamiętam, jak nam dawali te przydziały, kawałek chleba... a ponieważ mój brat, to był jeszcze młody chłopaczek, to myśmy ze swoich porcji dawali... bo każdy miał swoją szafkę, to do jego szafki się wkładało większe porcje, żeby on miał więcej co jeść, bo w innych rodzinach to se jeszcze podkradali, były takie rodziny, a my odwrotnie, myśmy mu dokładali, żeby on jakoś przeżył, ale niestety i tak nie przeżył. No nasza rodzina była bardzo ze sobą związana, no ta najbardziej osobista rodzina.

J.H.: A widziała pani kiedyś Rumkowskiego?

H.N.: Tak, no czasem tam po ulicach chodził. No on rozdawał przydziały to myśmy czasem dostawali, łupiny od kartofli. Ach, mówię pani, to było ach... matka to obsmażała i ja myłam to pod kranem, w trzaskający mróz. Kiedyś się przewróciłam, rozciąłam sobie nos, jak myłam te łupiny, no bo trzeba było je umyć, żeby coś z nich zrobić. To matka je jakoś smażyła na końskim tłuszczu, różnie. No zawsze czymś się żołądek zapchało.

J.H.: A te przydziały to dostawali tylko wybrani, czy to była jakaś nagroda?

H.N.: Na talony to było... To się dostawało, ale już nie pamiętam za co. To się dostawało talon na łupiny od kartofli, może sobie to pani wyobrazić?

J.H.: Ale nigdy tak osobiście to pani go nie spotkała?

H.N.: Nie, nie, nie. Tylko, jak przejeżdżał, albo jak przechodził.

J.H.: Była pani w getcie podczas wielkiej szpery?

H.N.: Byłam, oczywiście, że byłam.

J.H.: I tata chodził na te wszystkie jego przemówienia itd.

H.N.: No nie. Jak była wielka szpera to przecież Niemcy byli, a nie on.

J.H.: No tak, no ale on bardzo często przemawiał w getcie.

H.N.: Tak... no, ale to raczej nie bywałam na jego przemówieniach.

J.H.: A tato?

H.N.: No może i był, ale... Nie zwierzał się.

J.H.: A jak pani wspomina tą wielką szperę?

H.N.: No przypominam sobie, to pamiętam jak dziś, przyszli Niemcy i kazali wszystkim wyjść na dół. I... ta przyjaciółka matki strasznie się bała i schowała się do szafy. Ale powiedziała, że sama nie zostanie i matka się schowała do drugiej szafy. No bo się baliśmy wszyscy... no nie były jeszcze takie stare... nie miały jeszcze pięćdziesiątki wtedy, a dla nas to już stare były. Zresztą ta przyjaciółka to była starsza od mamy. No to one zostały tam w tych szafach, a myśmy wszyscy zeszli na dół. Poustawiali nas, pamiętam jak dziś no i byliśmy spokojne, że matki zostały tam, w tych szafach. Ale Niemcy chodzili i sprawdzali. A ten... syn tej mamy przyjaciółki, to powiedział, że będzie od czasu, do czasu przychodził i sprawdzał. I akurat przyszedł Niemiec, no a mama myślała, że to on i wystawiła głowę i on ją zobaczył i na szczęście nie otworzył tej drugiej szafy, bo tamta by chyba nie przeżyła. I sprowadził mamę na dół. Boże, jak ja zobaczyłam mamę, to mi się niedobrze zrobiło. No, ale na szczęście wtedy jakoś jeszcze przeżyła. No i później weszliśmy na górę i opowiadała, jak to się stało, że ją zabrali, że ją widzieli w ogóle. No a tamta była blada jak ściana, myślałam, że umrze. Była taka przestraszona. No i tak się skończyła ta... No a później się złożyło tak...

J.H.: I to było wszystko podczas tej wielkiej szpery? Nic więcej się nie stało?

H.N.: No, na moim podwórku tak było.

J.H.: Bo takich malutkich dzieci nie było?

H.N.: No, nie. Także nie wiem, co gdzie indziej było. Ale, zaraz o czym to ja chciałam powiedzieć... Aha, nie pamiętam, że nie było cos ojca i matki w domu, nie wiem gdzie byli i przeszukiwali ten dom na Wolborskiej, nie gdzie myśmy mieszkali, tylko w tym drugim domu. I ja byłam w domu sama. I przyszli ci dwaj kripowcy, Kriminal Polizei, a że ja dobrze mówiłam po niemiecku, no to se... zaczęli mnie wypytywać, a gdzie ja pracuje, co ja tu robię, co i jak, a jak tak z nimi gadałam z półgodziny chyba. Te wszystkie sąsiadki, bo chodzili po wszystkich mieszkaniach, były pewne, że mnie już nie ma. No, ale tak jakoś nam się dobrze gadało, on widział, że ja dobrze mówię po niemiecku. On myślał, że ja jestem służącą w domu, no i ja go nie wyprowadzałam z błędu. A w szafie było schowane futro z karakułów, nie nasze, tylko znajoma mamy dała na przechowanie, myślała, że przechowa. Jakby on znalazł to futro, to by mnie już dawno nie było na świecie. Na szczęście tak się zagadał, że jakoś nie otwierał szaf. I po pół godzinie se poszli. Nic. Pogadali i poszli. A te sąsiadki potem hurmem do mnie: „Ty żyjesz?! Nic ci się nie stało?“, no mówię: „Jakoś pogadał ze mną i dał mi spokój“. I nic żadnej szafy nie otworzył. A ja się trzęsłam, jak znajdzie to futro, to nie ma... Bo pod karą śmierci trzeba było wszystkie futra oddawać. No jakoś mi się... widocznie mi przeznaczone było żyć.

J.H.: I w którym roku was zabierają z getta z Łodzi. BO rozumiem, że potem żyje się coraz gorzej?

H.N.: No strasznie się żyło w getcie, naprawdę. No w 44 roku. Najpierw, w czasie tych różnych szper, to pozabierali mnóstwo ludzi. Do Treblinki, do Majdanka... zabierali mnóstwo osób. Już tam zostało nas niewiele. A w 44, to już końcówka była, to już w ogóle getto było opróżnione. Z tym że osiemset ludzi się ukryło w piwnicach. Do końca... między innymi mój szwagier. Męża brat. Ukrył się w piwnicy i przeżył jakoś do końca, aż Rosjanie tutaj weszli. No a nas wygnali wszystkich no i ten... jak on się nazywał, ten przewodniczący, co go zabili po wojnie, to znaczy sąd go skazał na śmierć, był zupełnie łysy, Bibow. To on przemawiał tak, że niby wysyła nas do takiego miejsca, gdzie będziemy wszyscy razem, gdzie będziemy pracować i „Włos wam z głowy nie spadnie” i pokazał na swój łeb. No to można było sobie wyobrazić. Zresztą ja już wiedziałam o Oświęcimiu, bo jak pracowałam w tym szopie, gdzie te guziki dziurki, to tam w kołnierze były wszyte kartki i tam napisane było, co to jest Oświęcim i dokąd nas wiozą. Także myśmy już byli przygotowani na to.

J.H.: Ale jakie kartki, przez kogo pisane?

H.N.: No przez tych, którzy tam byli, no widocznie też mieli do czynienia z tymi uniformami i jakoś udało im się wszyć te kartki. W niektórych tylko były.

J.H.: I to były po polsku pisane te kartki?

H.N.: Po polsku.

J.H.: I co tam było pisane?

H.N.: Żebyście wiedzieli dokąd jedziecie, to jest obóz śmierci, tu wszyscy zginą. Tak mniej, więcej tego typu kartki były. No to byliśmy przygotowani, a co mieliśmy robić? Chyba powstanie. No w Warszawie wybuchło powstanie.

J.H.: A tutaj w Łodzi nie było żadnych słuchów takich?

H.N.: Były, ale nikt się jakoś nie odważył, żeby zrobić powstanie. No to nas wysłali od razu na ten dworzec, do tych wagonów bydłowych.

J.H.: A na który dworzec was zaprowadzili?

H.N.: A który to był to ja nie pamiętam. W każdym razie pamiętam, jak nas wepchnęli na te wagony i zamknęli je, i jechaliśmy chyba z osiem dni do tego Oświęcimia.

J.H.: I jedziecie wszyscy, mama, tata?

H.N.: tak, wszyscy. Ale stłoczeni i w ogóle i jedzenia w ogóle nie dawali, czasem trochę wody. No okropna to była jazda. No i jak zajechaliśmy do tego Oświęcimia, to nas wygnali z tych wagonów, od razu była selekcja kobiety osobno i mężczyźni osobno, no i dzieci osobno. No i dzieci zabierali rodzicom, no to były straszne chwile.

J.H.: To może trudne pytanie, ale rozmawialiście z rodzicami w takich momentach, jak się jedzie na przykład takim pociągiem, to już się żegnaliście...

H.N.: Zdawaliśmy się z tego sprawę, że już chyba nie spotkamy się razem. Coś nas tak... Ja się tuliłam do rodziców i nie chciałam od nich odejść na chwilę. A brat to był... mimo że był młodszy ode mnie to był taki opiekuńczy mówił: „Nie martw się wszystko będzie dobrze”, no... No i zajechaliśmy tam, od razu nas rozdzielili. Ja osobno, mama osobno, ojciec z bratem osobno> no, mama to zginęła tego samego dnia.

J.H.: A skąd pani wie, że zginęła?

H.N.: Bo już jej nie widziałam, a kobiety były wszystkie razem, a mamy już nie było i tej przyjaciółki też, no bo już starsze były, nie nadawały się dla nich do roboty. Zresztą ta aufsejka powiedziała: „Widzicie ten komin? Tutaj wasze matki się smażą”.

J.H.: Kto tak mówił?

H.N.: Ta aufsejka. To jest taka przewodnicząca, nad nami.

J.H.: Ale ona była Żydówką?

H.N.: Niemką.

J.H.: To ile pani mama miała wtedy lat?

H.N.: No zaraz, 93 rocznik, a to był 44, czyli 51 lat. Młoda jeszcze była. Młodsza niż mój syn teraz.

J.H.: czyli was rozdzielili kobiety osobno, mężczyźni osobno i dodatkowo kobiety stare, młode osobno?

H.N.: Tak. Także te, co do roboty, tak jak ja to osobno, a te co już schorowane, czy stare to od razu do komory gazowej i koniec pieśni. No już od tego czasu nie widziałam matki.

J.H.: A gdzie panią od razu zabrano tam w tym Oświęcimiu?

H.N.: No do takich baraków. To były takie... to były kiedyś jakieś końskie ujeżdżalnie, czy co... na środku stał taki piec, znaczy nie stał, on był taki niski, i po bokach były prycze. To było chyba trzy piętra. Tam byłyśmy po pięć dziewcząt na jednej prycze. Także na komendę trzeba było spać. Jak lewy bok, to wszystkie lewy bok, a jak prawy, to wszystkie prawy, bo inaczej nie mieściłyśmy się.

J.H.: No i z kim pani wtedy była?

H.N.: Ja byłam wtedy sama. Bo ta przyjaciółka to była przecież w Warszawie.

J.H.: No a tam zawiązywały się jakieś znajomości? No jak po pięć spałyście w jednym łóżku, to nie da się chyba nie rozmawiać?

H.N.: Ale nawet nie chciało nam się już rozmawiać. Głodne byłyśmy. Na przykład budzili nas często o czwartej nad ranem. To się stało piątkami, trzęsłyśmy się, bo to już był listopad, było zimno bardzo. A ubrane byłyśmy, ja miałam taką spódnicę, co ją musiałam sznurkiem związywać, bo dwie by się zmieściły w tę spódnicę i podarta bluzkę bez pleców. Plecy były wydarte i tak stałyśmy cztery, czasem pięć godzin. Ja już nie miała siły. Myślałam wszystko mi jedno, niech mnie zabiją, siadałam tam w tej piątce. Dziewczyny krzyczały: „Wstań, bo cię zabiją”, ja mówiłam: „A niech mnie zabiją, co mi po takim życiu”. No, ale jakos mi się udawało.

J.H.: I jak taki dzień wyglądał? Zawsze tak samo?

H.N.: No tak, po tym apelu to dostawałyśmy tak... no nie pamiętam... kromeczkę chleba, za dużo żeby umrzeć, a za mało żeby żyć. No i później tak... kręcić się po obozie, to nie wolno było, tylko tak koło baraku, no... To jest nie do opowiedzenia, dosłownie. Załatwić się na komendę można było tylko, wszystkie razem i to ci Niemcy łazili tam i to już nawet człowiek wstydu nie miał. Nie było rady. A umycie się, to jak się któraś dostała do kranu, to była szczęśliwa mogła chociaż twarz trochę odświeżyć. A tak w ogóle, żeby się umyć dokładnie, tak jak się człowiek w ogóle myje, to nie było mowy. No i wieczorem znowu apel. A na obiad to nam dawali, na pięć osób, taką jedną miskę zupy. I beż łyżek oczywiście. I która zdążyła trochę wypić kilka łyków, to zdążyła. A ja rzadko kiedy dążyłam, bo ja się nie lubiłam przepychać i bić. Także, to było trudne do opowiedzenia, w ogóle nawet.

J.H.: A kobiety bardzo się przepychały i biły?

H.N.: Oj, niektóre to by zabiły. A ja mówię, nie będę się biła, bo co mi po tym przyjdzie? No i tak to było. Wieczorem znowu apel i czasem, jak już kładłyśmy się spać... ja to często nie kładłam się w ogóle na tej prycze, tylko koło tego pieca to była taka betonowa płyta i ja na tym betonie spałam i może dlatego teraz tak cierpię.

J.H.: Bo tam w piecu nie paliło się?

H.N.: Nie, nie. To był taki piec, no nie wiem kiedy oni tam palili. I ja tam spałam na tym betonie, w tej bluzce bez pleców i w tej spódnicy. I to bardzo możliwe, że wtedy ten kręgosłup cos tam... się... nadwerężył.

J.H.: I to raczej każdy tak, tam sobie sam... bez przyjaźni?

H.N.: Raczej przyjaźnie się nie zawiązywały, bo trudno było się przyjaźnić w takim horrorze po prostu. Nawet się człowiekowi nie chciało mówić. A w ogóle pierwsze dni, jak mnie rozdzielili z rodziną nie chciałam jeść, nie chciałam nic. Stale płakałam. One mówiły: „przestań, bo oni cię zabiją”, a ja mówiłam: „niech mnie zabija. Ja nie chcę wcale żyć.” No później jakoś przywykłam do tego, że nie mam rodziców, że nie mam brata i tak jakoś się wegetowało, bo nie można tego było nazwać życiem oczywiście.

J.H.: Ale w tym czasie między śniadaniem, a apelem i między obiadem, a apelem wykonywałyście jakąś pracę?

H.N.: Nie. Właśnie ja się dziwiłam z tego, bo niby nas wzięli, bo byliśmy młode i zdolne do pracy, ale żadnej pracy nam nie dawali. Tam, że by mieć pracę, to trzeba było mieć tak zwane chody. Znać kogoś z tych kapo, czy któryś...

J.H.: Czyli tak się siedziało?

H.N.: No, jak któraś dostała na przykład pracę w kuchni, no to już całe szczęście było.

J.H.: A pani w ogóle nie pracowała, przez cały ten czas?

H.N.: Nie. Cały czas nie. No to było parę miesięcy...

J.H.: Bo pani jest w Oświęcimiu do kiedy?

H.N.: W Oświęcimiu, no jak nas wywieźli w sierpniu 44, to w listopadzie już nas wywieźli, bo się front zbliżał.

J.H.: Ale 44.

H.N.: tak. A później przewieźli nas do Ederanu. To było w Niemczech. To była piękna miejscowość, w górach położona. No tam, to już miałyśmy takie pomieszczenie niby normalne. Bo pracowałyśmy w fabryce tych... w fabryce zbrojeniowej. Robiłyśmy kule do takich dużych... bo takie duże były.

J.H.: A wrócmy jeszcze na chwilę do Oświęcimia. Bo pani mówi, że załatwić się można było na komendę, itd. A kobiety mają przecież...

H.N.: Oni nam dawali coś, dawali nam coś na wstrzymanie. Także ja tam cały czas nie miałam miesiączki.

J.H.: A to były tabletki jakież?

H.N.: Nie, oni coś do jedzenia dodawali. No bo oni by tam... to by się załęgła jakaś epidemia, gdyby wszystkie kobiety i nie miałyśmy przecież bielizny żadnej. Także żadna z nas nie miała, bo dawali nam coś od początku. Coś tam dawali.

J.H.: A skąd pani wie, że dodawali?

H.N.: No bo później się dowiedziałam. Bo się dziwiłam, że nie miałam miesiączki, a oni mówili, że przecież oni coś dodawali, żeby wstrzymać.

J.H.: A kto mówił?

H.N.: No już tam po wojnie, jak się rozmawiało na ten temat. Bo ja dopiero po wojnie dostałam miesiączkę znowu.

J.H.: A jakieś kontakty z Niemcami miała pani, jakieś takie nieprzyjemne?

H.N.: Nie, na szczęście nie. I to mnie uratowało. Bo niektórych tam wzywali, niektóre tam usługiwały im, w różny sposób, dokładnie nie wiem jaki, ale mnie się to jeszcze nie trafiło.

J.H.: Pani opowiadała też, że kobiety czasem rzucały się na ogrodzenia.

H.N.: Tak, ale to starsze przeważnie. Starsze, bo widać było siwe włosy. Nie mogły już wytrzymać tego po prostu.

J.H.: I na te ogrodzenia pod napięciem?

H.N.: Tak, pod napięciem były. Jak się dotknęło to kuniec. I to była łatwa śmierć raczej, no jaki inaczej mogły...

J.H.: I widziała to pani kiedyś?

H.N.: Widziałam. Widzę jeszcze ja, jak tak wisi na tych drutach. Czarne dłonie, wszystko takie. Ta głowa spuszczone. Widzę ją dokładnie, a to jest tyle lat.

J.H.: Ale nie znała pani jej z imienia?

H.N.: Nie, nie, po prostu... Widzę ten obraz.

J.H.: A rozmawiałyście między sobą, że te komory są i co tam się w ich dzieje?

H.N.: No, one nas... te kapo, od razu nas uświadamiały, „jak nie będziecie posłuszne, to widzicie te kominy, tam ludzie są spalani”.

J.H.: A wy wierzyłyście w to w ogóle?

H.N.: Tak. Bo myśmy słyssały już, no i na tych kartkach też było napisane, że ludzi spalają i że w ogóle takie rzeczy są.

J.H.: A pani widziała kiedyś taki transport, albo wiedziała, że akurat o tej porze...

H.N.: No nie.

J.H.: Tego nie było widać?

H.N.: Nie, oni to tak robili, żeby... zakamuflować. Niby że się jechało do łaźni.

J.H.: Ale każdy wiedział już co znaczy ta łaźnia?

H.N.: No tak. Znaczą nie, no łaźnia też była. No nas przecież rozbierali, golili nam głowy, od razu pierwszego dnia i dawali jakieś łachy. No ja mówiłam pani, te spódnice i ta bluzka bez pleców, to dostałam, wszystko musiałyśmy rozebrać, wszędzie włosy nam golili, no i dawali jakieś łachy, no i to było tyle. Dla tych, co mieli żyć.

J.H.: Znaczą na nogach też włosy golili?

H.N.: Takie trepy drewniane.

J.H.: Ale włosy na nogach też golili?

H.N.: A nie tylko pod pachą, no wie pani...

J.H.: Ale czy golili włosy pod pachą na przykład?

H.N.: Taką... nie żyletką tylko maszynką taką, nie elektryczną broń bożą.

J.H.: No i pewnie ranili też trochę?

H.N.: No pewnie, oczywiście, tam nikt nie patrzył. Ja mam dużo kaszaków na głowie, możliwe że to od tego.

J.H.: A co to jest kaszak?

H.N.: A to są takie... takie no... jakby to określić, takie guły, takie...

J.H.: rany?

H.N.: To nie rany, tylko takie... guzy, no. I to mnie zostało do dzisiaj. Już byłam kilka razy operowana, ale... to odrasta.

J.H.: A dostała pani też numer?

H.N.: Nie. Ten transport jakoś nie dostał numerów. Mąż ma numer, no mąż tam był parę lat, także...

J.H.: I w listopadzie panią zabierają?

H.N.: tak.

J.H.: I wcześniej było już coś o tym słyssać, że transport gdzieś tam będzie?

H.N.: No tam były takie gadki, że front się zbliża, że chyba coś tam z nami zrobią.

J.H.: A wie pani skąd takie informacje, to Niemcy mówili o tym froncie?

H.N.: Nie, no przecież tam było, dużo Polaków mieszkało. Dookoła. No przecież mój mąż uciekł z Oświęcimia, z tego marszu śmierci. Pani słyssała o tym marszu śmierci. I chował się na drzewie w ten dwudziesto stopniowy mróz. W tych pasiakach tylko. To dziw, że on przeżył jeszcze tyle lat, naprawdę.

J.H.: A te kontakty z Polakami, którzy tam mieszkali były jakieś?

H.N.: No... ja nie miałam żadnych kontaktów. No mąż to miał, bo go wywozili do pracy. On miał takie pomysły różne, wie pani, że go chętnie ze sobą zabierali. Bo to właściwie były polskie dwie, te komanda tak zwane, ale Jakuba zawsze zabierali, bo on miał takie pomysły, że zawsze lżej było w pracy. To wtedy to już oni mieli lepiej o tyle, że ci niektórzy chłopcy dawali kromkę chleba, czy trochę zupy, to już trochę byli bardziej odżywieni.

J.H.: I pani męża poznaje gdzie?

H.N.: Po wojnie.

J.H.: Aha, czyli o tym na razie nie będziemy opowiadać. Czyli w listopadzie tego 44 roku, pani w tym transporcie jest, prawda?

H.N.: tak. To pojechałam do Niemiec do tego Ederanu.

J.H.: A do tego transportu do Niemiec to wybierali same młode kobiety? Jak to wybierali?

H.N.: No przeważnie, przeważnie. No bo chodziło... bo tam jechałyśmy do pracy. Do tej fabryki amunicji. Ja pracowałam przy tej maszynie, co się robiło, te... łuski do tych... pocisków.

J.H.: I tam warunki były już lepsze?

H.N.: To... znaczy o tyle lepsze, że w pomieszczeniu, że tam nawet było centralne ogrzewanie, także... nie było tak zimno. No i ... trochę jedzenie lepsze było. No tylko... ja tam robiłam takie siupy, że te... maszyna musiała stale być w ruchu i stale musiały być te łuski, jak była pusta to się psuła. To właśnie na pusto puszczałam te maszynę. Tylko dostałam cynk, jak szedł ten majster, Niemiec, no to szybko wkładałam tam cos, żeby szło, no bo... to było zabronione oczywiście. No i tam to się pracowało na trzy zmiany, w nocy też. No ale, czy oni mieli pociechę z tych pocisków, to wątpię, bo wszystkie robiłyśmy takie siupy, żeby nie mieli tych pocisków. No udawało się, no... No a później front był coraz bliżej, to nas wysłali do Terezina. Do Czech. I tam już doczekałam końca wojny.

J.H.: A jeszcze w tym Ederanie, tam też golili głowy...

H.N.: Nie, nie. Tam nie. Już dali nam nawet pamiętam takie barchanowe majtki. No bo to była zima. Ale na nogach i nic nie było, tylko takie powykręcane pantofle. No i takie płaszcze dali, tylko na plecach był taki pas i KL Konzentrations Lager. Ja w tym płaszczu to chodziłam jeszcze długi czas po wojnie, bo nie miałam pieniędzy, żeby sobie kupić nowy.

J.H.: I tam były same kobiety w tej fabryce?

H.N.: Same kobiety. No jedna pamiętam zwariowała i w takim kojcu była, takim trzypiętrowe pamiętam, żeby nie mogła wyjść. Ale wrzeszczała na nich, przeklinała. Nie wiem zabrali ją gdzieś, pewnie ją gdzieś zabili.

J.H.: I to duży obóz był?

H.N.: No spory. Mniejszy niż Oświęcim, ale spory obóz był.

J.H.: I potem panią, kiedy wywożą do tego Terezina?

H.N.: Do Terezina w kwietniu 45, już prawie pod koniec wojny.

J.H.: A dlaczego przewieźli z Niemiec?

H.N.: Dlatego, że... bo tam podobno... to był gród cesarzowej Teresy, strasznie stare miasto i podobno oni tam te podziemia podminowali i to miało 8 maja podajże, to miało wybuchnąć wszystko i byśmy wszyscy zginęli, ale jeden Niemiec poczuł się skruszony i wyznał to, także oni opróżnili to wszystko i jakoś dożyliśmy do końca. Ruscy przyszli.

J.H.: A w tym Terezynie to też był obóz pracy?

H.N.: To był taki... to miała być obóz zagłady, tylko nie zdążyli.

J.H.: I tam panią zastał koniec wojny?

H.N.: Tak, tak, tak.

J.H.: Pamięta pani dokładnie ten dzień?

H.N.: To było chyba 8 maja. No i byliśmy tam na kwarantannie, jakieś sześć tygodni, bo bali się jakiejś zarazy, wie pani epidemii.

J.H.: Ale kto się bał?

H.N.: Rosjanie. Niemców nie było już, już ich przegnali.

J.H.: I na czym ta kwarantanna polegała?

H.N.: no, że nie wolno nam było wyjeżdżać nigdzie.

J.H.: Z tego Terezina tak?

H.N.: Tak. Tylko dawali nam jeść, już nie było tego terroru, ucisku... No, ale tam też przeżyłam swoje, od Rosjan z kolei.

J.H.: A opowie pani?

H.N.: No... Wie pani człowiek, już się czuł wolny, to se chciał chodzić... A chodziłyśmy z koleżankami do lasu... I taki jeden typ był, ale to Żyd był i on widocznie dostawał od nich pieniądze, od Ruskich i sprowadzał im młode dziewczyny. No i myśmy tam poszły oni nas częstowali winkiem, to było takie jabłkowe wino, bardzo lekkie w picciu, ale człowiek tracił

przytomność po tym i ja kiedy się ocknęłam patrzę jakiś się dobiera do mnie Ruski. Oficer, tutaj pełne pierś medali i ja mu mówię, jak on się nie wstydzi oficer, medale... Miałam na ręce dwa zegarki, bo mnie koleżanka prosiła... to nie były moje i on zobaczył te zegarki, jeden mi zerwał „Idi! Jak nie chcesz dać siebie, to daj zegarek!”. No i ja przyszłam, nie zdążył nic zrobić, bo ja mu tak przemawiałam do sumienia, widocznie coś w nim drgnęło i przyszłam tam, a niektóre takie ukochane koleżanki opowiedziały wszystkim, że ja zostałam zgwałcona. Już nawet się nie broniłam, mówię: „Nie ma co z takimi gadać”. No i miałam takie szczęście, że któreś nocy, ta moja prycza to była przy samym oknie, gdzieś tam na końcu pomieszczenia, znowu trafił do mnie jakiś Ruski i zaczął się dobierać. I jak ja narobiłam wrzasku, to już z tych męskich baraków powychodzili i przegnali ich. No i później ten komendant, tego obozu, Rosjanin prosił, żebyśmy się nie ubierały wyzywająco tak, żeby tak pokazywać za dużo ciała, bo to są żołnierze wygłodniaли z frontu i żeby się starać daleko od nich. No i my żeśmy się starały daleko od nich. No i po tej kwarantannie wysłali nas do Pragi. No i tam...

J.H.: I pociągami jeździliście tak?

H.N.: Tak, tak. Do Pragi. No Praga nie była tak zburzona, jak Warszawa, trochę było ruin. No i tam płacili za wszystko za nas. Za noclegi, za jedzenie i jeszcze nam dali pięćdziesiąt koron na drogę, żebyśmy mogły sobie coś po drodze kupić.

J.H.: Ale dlaczego akurat do Pragi, pani wie?

H.N.: No nie wiem. No widocznie tam był jakiś punkt zborny, no i...

J.H.: I tam, gdzie mieszkaliście?

H.N.: A w hotelu. I oni płacili.

J.H.: I takie dobre to były hotele?

H.N.: No... nie powiem, że by to był Ritz, ale dla nas było ważne, że było gdzie spać I dawali nam jeść. Także bardzo ładnie się z nami obchodzili. I za tramwaje, te środki w mieście... w ogóle nie płaciłyśmy. A jak przyjechałam do Łodzi i wsiadłam do tramwaju, to kazał mi zapłacić, ja mówię: „Panie, pan widzi, że ja jestem z obozu koncentracyjnego. Skąd ja mam mieć pieniądze?”, „To chodź sobie pieszo”. No i musiałam wysiąść z tramwaju. Nie pozwolił mi jechać na gapę.

J.H.: Ale, jak to wygląda, że oni was cały czas eskortują?

H.N.: Nie, nie powiedzieli już...

J.H.: W tej podróży do Pragi?

H.N.: No to w pociągu jechałyśmy, powiedzieli, że mamy prawo jechać bezpłatnie, no i zajechałam do Katowic i w tych Katowicach tak mnie przyjęli. „Że ten Hitler nam ich jeszcze tyłu zostawił. Nie mógł ich wszystkich wymordować”.

J.H.: I to Polacy powiedzieli, tak?

H.N.: Tak.

J.H.: Mężczyzna, czy kobieta?

H.N.: Mężczyzna. Pamiętam. Dwóch mężczyzn tak se gadało. A...

28.02.2005

KASETA NR 2

STRONA B

J.H.: teraz chodzi mi o to, czy z tej podróży pociągami z Terezina do Pragi, to was duża liczba kobiet jedzie?

H.N.: Sporo nas była.

J.H.: A pamięta pani ile około mogło być?



H.N.: No trudno mi powiedzieć, ale pamiętam jedna była, tak zaprzyjaźniłyśmy się, ale ona tam znalazła męża. Wyszła tam za męża, w Pradze. Ona akurat nie miała ogolonej głowy i miała bardzo ładne włosy. No i tam... Nawet się, na początku kontaktowałam z nią, ale później straciłam kontakt.

J.H.: I pani te Hanię poznaje w Terezynie?

H.N.: W Terezynie. Tak.

J.H.: I tam się zaprzyjaźniacie z sobą?

H.N.: Tak.

J.H.: A wie pani skąd ona była?

H.N.: Nie. To nas nie interesowało wtedy. Interesowało nas dokąd, a nie skąd. No ja chciałam do Łodzi, bo myślałam, że może z rodziny jeszcze kogoś znajdzie.

J.H.: Ale była taka możliwość. Bo wy na razie podróżujecie razem z tymi oficerami rosyjskimi?

H.N.: Tak. Nie, nie każda czym chciała i dokąd chciała to sobie jechała

J.H.: Ale wszystkie się umówiłyście, że do Pragi akurat?

H.N.: A nie do Pragi to obowiązkowo, a Pragi, to każda dokąd chciała.

J.H.: A do tej Pragi ile jedzie kobiet, pięćdziesiąt, więcej?

H.N.: No nie wiem. Nie pamiętam trudno mi powiedzieć.

J.H.: I w tej Pradze jak długo pani spędza?

H.N.: No kilka dni. Tylko pamiętam, że nas karmili, wszystko za darmo było.

J.H.: I potem poinformowali, że można jechać?

H.N.: Że można dokądkolwiek jechać. Tak, że już kwarantanna skończona, że każdy może jechać dokąd chce.

J.H.: I ta podróż też oni opłacali?

H.N.:; Wszystko.

J.H.: Czyli z Prago dokądkolwiek oni też?

H.N.: Też. Tak.

J.H.: I pani wsiadła do Polski?

H.N.: Do Polski, chciałam do Łodzi. No to pierwszy przystanek był w Katowicach. No i tak se pomyślałam po latach, że szkoda że se nie wsiadłam w jakikolwiek pociąg dokądkolwiek.

J.H.: Ale nie do Polski?

H.N.: Bo nie spodziewałam się takiego przyjęcia. No zaszokowana byłam, jak usłyszałam te słowa.

J.H.: I pani z Prago do Katowic jedzie sama, czy jeszcze jakieś kobiety jadą?

H.N.: Nie, pamiętam. Jeszcze jedna jechała, ale już nie pamiętam, jak się nazywała. No i przyjechałam do Łodzi i doszłam do wniosku, że nie miałam po co przyjeżdżać. Nikogo nie znam, nie mam gdzie spać... No, ale tutaj spotkałam... spotykałam ludzi, u których miałam nocleg. Dopóki nie poznałam męża.

J.H.: No, ale jak pani przyjeżdża, to gdzie pani idzie najpierw?

H.N.: No poszłam do gminy żydowskiej.

J.H.: Ona była tam na Pomorskiej?

H.N.: Nie. Gdzieś na Piotrkowskiej, ale nie mogę se przypomnieć. No i tam dostałam, proszę pani, pół bochenka chleba, pół kilograma cukru i jeszcze tam coś...

J.H.: A na ile dni?

H.N.: No... jednorazowy przydział. No i pytam czy mają gdzieś jakieś noclegi, bo ja nie mam gdzie spać. Niestety nie muszę se sama znaleźć. No i spotkałam koleżankę, to jeszcze ze szkoły, z którą razem chodziłam do szkoły i ona tu miała jakiegoś znajomego i on nam dał jeden nocleg.

J.H.: A gdzie, na jakiej ulicy?

H.N.: Gdzieś na Piotrkowskiej, na początku Piotrkowskiej, ale nie pamiętam pod którym numerem.

J.H.: Ale tutaj na początku, od strony Placu Wolności?

H.N.: Tak. No, a później... no jedna noc, to jedna, a później. No i później spotkałam jedną koleżankę, która tu miała brata. No i tu nocowałyśmy u jej brata. Dopóki on nie ożenił się. To ta koleżanka powiedziała, że muszę się wyprowadzić. No to spotkałam drugą koleżankę i u jej wujków tam spałam na podłodze. Na takich cienkich tych... siennikach i myszy po nas harcowały. Bałam się, znaczy nie było się czego bać, ale nieprzyjemne to. No i tam już byłam do czasu, jak się... znaczy jak z mężem się poznałam. No jeszcze ślubu nie mieliśmy wtedy, bo jeszcze nie było tych Urzędów Stanu Cywilnego, także... ale on mnie we wrześniu wziął. Także ja miałam trzy śluby, 26 września się tu wprowadziłam, do męża, później 19 stycznia 46 roku miałam olbrzymie wesele. I 2 maja miałam ślub, no to już w Urzędzie Stanu Cywilnego, 46 roku.

J.H.: Ale teraz chciałbym się zapytać, jak pani mieszka u tego koleżanki brata, to na jakiej ulicy?

H.N.: Na Piotrkowskiej 138.

J.H.: A pamięta pani, jak się nazywała ta koleżanka?

H.N.: Szejmfeld chyba.

J.H.: I to była ze szkoły koleżanka?

H.N.: Tak.

J.H.: A na imię?

H.N.: Lola.

J.H.: A potem u tego wujostwa drugiej koleżanki, to na jakiej ulicy?

H.N.: To na Piotrkowskiej 35.

J.H.: Aha, to wszystko na Piotrkowskiej?

H.N.: Tak.

J.H.: A ta koleżanka, jak się nazywała?

H.N.: Wiem, że Fela na imię, ale nie mogę se przypomnieć nazwiska.

J.H.: I pani się tak tuła od tych koleżanek jaki czas?

H.N.: No, do września 46.

J.H.: czyli pani dojeżdża do Łodzi dokładnie którego, z tej Pragi?

H.N.: To było w maju.

J.H.: Aha czyli od maja 46, do września 46? I pani w tym przedziale czasu znajduje gdzieś pracę na przykład?

H.N.: Tak.

J.H.: I gdzie pani pracuje?

H.N.: W Komendzie Wojewódzkiej Milicji. Bo ten brat, tej koleżanki, u której mieszkałam, był szefem personalnym i on mnie przyjął tam do pracy.

J.H.: I pani tam pracuje, jako sekretarka?

H.N.: Na początku, jako maszynistka, później jako sekretarka, a później jako kierowniczka oddziału.

J.H.: I długo pani w tej milicji pracuje?

H.N.: No do renty.

J.H.: Całe życie?

H.N.: Tak, no ale ja na rentę poszłam bardzo wcześnie. W 67 roku, bo zachorowałam na tarczycę. No i dwa razy po miesiącu byłam w szpitalu, potem mnie posłali na Komisję lekarską i stwierdzili, że niezdolna do służby. Także miałam 44 lata, jak poszłam na rentę. I od tego czasu... No teraz to na emeryturze jestem.

J.H.: A proszę mi powiedzieć, jak pani tutaj wraca, zaczyna pracę prawda, to jeszcze tutaj jakieś oznaki antysemityzmu, wrogości panią spotykają...

H.N.: Były, były. No mieliśmy takiego znajomego, on był oficerem wojska, no i zabili go... w jego mieszkaniu, jak się kąpał w wannie.

J.H.: A pamięta pani, jak się nazywał?

H.N.: Nie. Nie pamiętam.

J.H.: Ale kto go zabił?

H.N.: No nie wiadomo, weszli do mieszkania i go zabili.

J.H.: Ale Polacy?

H.N.: tak, dlatego że Żyd.

J.H.: A pani w pracy ma jakieś nieprzyjemności w związku z pochodzeniem?

H.N.: Też miałam. Nawet się poskarżyłam, ale nie było żadnego odzewu.

J.H.: A jakiego to rodzaju były?

H.N.: No bo, na przykład... Cos tam była, wtedy się zaczęła ta... izraelsko-palestyńska intifada i taka była mowa coś... i jeden tam przyszedł do nie i ja właściwie byłam zastępcą kierownika wydziału, on miał jakąś sprawę do nie i tak sobie gadaliśmy. A on mówi do mnie: „Ze też co Egipcjanie nie mogli tych wszystkich Żydów utopić”. To ja mówię: „Wie pan co, to niech pan zacznie ode mnie”. A on tak na mnie spojrzał: „Co to, jak to?”, „No bo ja jestem Żydówką, no to niech mnie pan utopi. Tylko nie wiem, gdzie pan mnie tu w Łodzi utopi”. Oj, boże ukląkł, zaczął mnie przeproszać i w ogóle... Czy wiedział, czy nie wiedział, ale ważne jaki ma stosunek do tego. No i go wygoniłam, nie chciałam mu nic załatwiać. No i poszłam do komendanta asie poskarżyć, on mu tam jakąś naganę dał... i tyle.

J.H.: Jeszcze takie sytuacje były?

H.N.: na ogół byłam lubiana. Naprawdę, nie chwale się, ale naprawdę byłam przez wszystkich lubiana. Tylko ten jeden... no może tak byłam lubiana, jak przez niego. No że się kryli z tym, ale nie sędzę.

J.H.: A pani kryła się ze swoim pochodzeniem?

H.N.: Nie, broń boże. No nie chwaliłam się tak specjalnie na głos, kim jestem, ale jak się nie ktoś pytał, to zawsze mówiłam prawdę.

J.H.: Dobrze, to teraz porozmawiajmy o tym, jak pani spotyka męża.

H.N.: No tam... Pracowaliśmy w jednym wydziale. Ja byłam maszynistką, a on był magazynierem. Bo kiedyś, jeszcze na początku dawali bardzo małe pensje, ale zawsze dawali jakieś śledzie, jakiś kasze... coś tam dodatkowo. No i stale trzeba było iść do tego magazynu po te rzeczy. No i ta sekretarka tego działu, gdzie ja byłam maszynistką, posyłała mnie. No ja byłam jeszcze młoda, to miała dziewczynę na posyłki. No top jak ja szłam do tego magazynu, to wszystkich załatwiał tylko mnie zostawiał. Ja mówię: „Jak to, jak pan sobie myśli? Stoję w swojej kolejce, pan załatwia innych a mnie nie”, „Dostanie pani, co trzeba”. I poszłam do tej sekretarki się poskarżyć, mówi: „Wiesz co, ty jesteś głupia, on specjalnie cię trzyma, bo chce na ciebie patrzeć”. No i faktycznie tak było. No i ona mnie tak namawiała. Mówi: „Ty się z nim spotykaj. To jest uczciwy, porządny człowiek. Będiesz z nim szczęśliwa”. Se myślę: „no, ja wiem? Ona go lepiej zna”, bo on pracował dłużej. No i tak się zaczęło. Zaczęliśmy się spotykać. Pamiętam on mi kupił pierwsze pończochy, bo ja chodziłam boso, bo nie miałam pieniędzy na pończochy. No i tak się... Właściwie 23 września, on się... przyszedł tam, gdzie ja mieszkałam u tych koleżanek, u tej koleżanki właściwie, mówi: „Gdzie masz swoje rzeczy?”, a swoich rzeczy to miałam taką paczuszkę, skąd miałam mieć rzeczy? To wziął te paczuszkę i mówi: „Idziemy do domu”, „Jak to, do jakiego domu?”, „Do mojego domu, znaczy się do naszego domu”. No i rzeczywiście tu mnie przyprowadził i ja od 26 września tutaj mieszkam.

J.H.: I to była taka miłość wielka?

H.N.: No... czy miłość, to trudno mi powiedzieć. Na początku to tak byłam zdezorientowana, ale widziałam, że to naprawdę dobry człowiek. Spokojny, niepijący. Na początku to trochę popijał, no to towarzystwo miał takie. No mówię: „Co będę szukać... jakieś wielkiej miłości,

jakiegoś księcia, na białym koniu?”. No i się tu wprowadziłam i tak mieszkaliśmy, aż do śmierci męża.

J.H.: I ani mąż jak się nazywał?

H.N.: Jakub Najberg.

J.H.: Ale pani mówiła, że trochę inaczej, bo zmienił imię?

H.N.: No... jankiel Mojsze.

J.H.: A wie pani kiedy zmienił imię? Po wojnie?

H.N.: Tak, ale nie wiem nawet czy oficjalnie. Chyba nie, bo miał w dowodzie osobistym Jankiel Mojsze. Tylko dla ludzi, to była zawsze Jakub.

J.H.: I pani wie, skąd pochodził, gdzie się urodził?

H.N.: W Kielcach.

J.H.: A w którym roku?

H.N.: W 18.

J.H.: I też z rodziny ortodoksyjnej pochodził?

H.N.: Tak, bardzo.

J.H.: Nie znała pani jego rodziny?

H.N.: Nie, skąd. Przecież zginęli z czasie wojny. Tylko opowiadał mi, jak był sądny dzień, to przecież był post, nie wolno było jeść. To rodzice szli, tak jak moi rodzice, do synagogi, a on z kolegami, no głodny był, to se kupili kielbasę i ugotowali se w czajniku te kielbasę. No bo garnka nie chciał używać. No i później niby wypłukał ten czajnik, ale jak matka przyszła, zrobiła herbatę, to była tłusta. No mówi: „Co tu się działo, dlaczego ten czajnik tłusty?”, „Nie no to musi ci się zdawać”. No to mi do dziś utkwilo w pamięci.

J.H.: A wie pani, jakie miał wykształcenie?

H.N.: maturę zrobił po wojnie. Do wojny to miał podstawową szkołę, a po wojnie uczył się, zaocznie i zrobił maturę po wojnie.

J.H.: I z zawodu kim był?

H.N.: Z zawodu to był tym, no... dziewiarzem. Skarpetki, pończochy szył, takie...

J.H.: Ale chodził do chederu?

H.N.: Nie, chyba nie. Chyba chodził tylko do takiej normalnej szkoły.

J.H.: A wie pani, jak się nazywali jego rodzice. Jak mama miała na imię, jak ojciec? Opowiadał o tym?

H.N.: Tak, ale coś nie pamiętam.

J.H.: I miał jakieś rodzeństwo?

H.N.: No miał chyba trzech braci i siostrę.

J.H.: A który był w kolejności?

H.N.: najmłodszy.

J.H.: A siostra która była?

H.N.: Nie, środkowa. No bo najstarszy brat zmarł na skręt kiszek. Coś... przed wojna jeszcze, w 36 chyba roku. No a... zaraz Dawid, Joe i... a trzech braci było w Kanadzie. Ten najmłodszy najpóźniej wyjechał. Ten najstarszy, po tym najstarszym co zmarł, to wyjechał przed wojną jeszcze. A ci dwaj to wyjechali po wojnie.

J.H.: czyli przeżyli wojnę tak?

H.N.: no, tak. No ten najstarszy to zmarł kilka lat temu, na chyba... no nie wiem, na cos później ten średni to zmarł w zaszłym roku, no ja byłam na pogrzebie, bo byłam a w Kanadzie, a ten najstarszy co ma dziewięćdziesiąt cos lat, to żyje jeszcze, ale już jest taki...

J.H.: A siostra?

H.N.: A siostra to dawno zginęła, zdaje się, że w czasie wojny zginęła.

J.H.: I pamięta pani dokładnie, że ten najstarszy, jak miał na imię?

H.N.: Najstarszy... to nie wiem, bo ten drugi to Joe był, Dawid i Irwing, no Irwing to jest teraz najstarszy.

J.H.: A siostra?  
H.N.: A siostra, to nawet nie wiem, jak się nazywała.  
J.H.: A potem pani mąż?  
H.N.: Tak, mój mąż był najmłodszy.  
J.H.: I to rodzeństwo też już bardziej zasymilowane?  
H.N.: tak. No, ale przestrzegali wszystkich tych... zwyczajów.  
J.H.: ten dom jego bardziej związany z tradycją niż pani?  
H.N.: Tak. Bo pamiętam, jak byłam tam w Kanadzie, jak była Wielkanoc, to te wnuki tych braci, to czytywały te, te... przepisane wszystkie te... w ogóle były przepisy przestrzegane. Maca tylko była. Nie wolno było jeść pieczywa normalnego, także przestrzegali... nie tak żeby ortodoksyjnie, ale przestrzegali tych wszystkich zwyczajów.  
J.H.: A jak zamieszkujecie razem, to też tak pani mąż ciąży w stronę tradycji, a pani mniej?  
H.N.: Nie, nie. Mąż to był jeszcze bardziej tej tolerancji liberalnej niż ja. No mówię pani, jak gotował w czajniku kielbasę?  
J.H.: A skąd u niego takie pomysły?  
H.N.: Nie wiem. No... widocznie takie miał środowisko, takich kolegów.  
J.H.: i był przystojnym mężczyzną?  
H.N.: No...  
J.H.: Podobał się pani?  
H.N.: No raczej tak. O tutaj jest na fotografii, może pani zobaczyć. No niebrzydki chłopak był. No jak był młody to bardzo ładny.  
J.H.: A opisze go pani? Czy wysoki...  
H.N.: Nie, no średniego wzrostu raczej, ciut wyższy ode mnie.  
J.H.: A z charakteru?  
H.N.: A z charakteru bardzo dobry człowiek. Lubiał pomagać ludziom, jak ktoś potrzebował pomocy, to zaraz się do niego zwracał i otrzymywał. No dobry człowiek z natury był.  
J.H.: To teraz tylko zapytam, z jakim przyjęciem się pani spotyka wśród znajomych, jak wraca tutaj do Łodzi spotyka koleżanki, sąsiadów?  
H.N.: No, koleżanki to wszystkie żydówki raczej. Chodziłam do żydowskiej szkoły. Także z normalnym. No pytały gdzie byłaś, jak przeżyłaś i tak dalej. No a z sąsiadami się nie spotykałam, bo w ogóle nie weszłam, do dzisiaj nie byłam na tym podwórku gdzieś mieszkali. Bo jakoś mnie tak wstrzymuje. No tylko ta dozorczyń z tego domu mnie przyjęła bardzo życzliwie, kazała mi nawet iść do naszego mieszkania „Tam mieszka lekarz, to go możesz wyrzucić, to twoje mieszkanie”.  
J.H.: A jeszcze ta podróż z Terezina do Pragi, to była już w lepszych warunkach?  
H.N.: No w lepszych, oczywiście że lepszych. Przede wszystkim nie groziła nam śmierć na każdym kroku. To było ważne.  
J.H.: Czyli to mieszkanie, w którym pani mieszkała przed wojną ono cały czas jest, ale pani nigdy go nie odzyskała?  
H.N.: Nie byłam tam nigdy. Tam jakiś lekarz zamieszkał podobno po wojnie, ale kto teraz to nie wiem.  
J.H.: Czyli pani wraca do Łodzi, bo ma nadzieję...  
H.N.: Że kogoś z rodziny jeszcze spotkam.  
J.H.: A potem dlaczego pani się nie decyduje na emigrację, jak się okazuje, że nikogo nie ma?  
H.N.: No bo, jak spotkałam już męża, no to mówię, to założę nową rodzinę, no nie ma co... czekać, bo wiem, że nie znajdę nikogo. Tam jakiś kuzyn się odnalazł, to skontaktował się ze mną, ale tylko raz... i nie wiem, co z nim dalej.  
J.H.: I już wtedy jakieś poglądy polityczne pani ma?  
H.N.: Nie miałam. Tylko, jak zaczęłam pracować, to musiałam się zapisać do partii, ja nie wiedziałam co to jest partia, co za partia. Tylko kazali mi się zapisać, to się zapisałam no...

J.H.: Ale działała pani jakoś w tej partii aktywnie?

H.N.: No... były takie okresy, ale rzadko.

J.H.: No i co pani robiła wtedy?

H.N.: no... w tej egzekutywie tak zwanej. To była ta nadrzędna... no bo ja, wie pani, umiałam się wysłowić i napisać coś, to chcieli żebym była, ale później to już...

J.H.: Ale zgadzała się pani z tymi poglądami, znała je pani w ogóle, tą teoretyczną postawę?

H.N.: No... zaimponowało mnie to, że wstawiają się za biednymi, że starają się pomóc ludziom, ale tak... nie zgłębiłam tego wszystkiego. Muszę przyznać.

J.H.: Aha, czyli pani bardziej tą biurokratyczną stroną się zajmowała?

H.N.: tak, tak.

J.H.: I uczestniczyła pani pewne, w jakiś zebraniach?

H.N.: Tak, no... musiałam to... No, spróbuj nie przyjąć! Trochę ze strachu. No, ale w końcu przemogłam się, bo jak mnie wezwali do komendy głównej i zaczęli opowiadać, że mój ojciec żyje w Niemczech z córką i jakąś fabrykę ma. To kazałam im natychmiast podać adres. „Jak nie podacie mi adresu i spróbujecie jeszcze raz zaczepić o ojca, to zrobię tu taką awanturę że będzie słycać na trzeciej ulicy”. No i dali mi spokój.

J.H.: A wie pani, w którym roku mogło być to zaczepianie?

H.N.: To było... no trudno mi powiedzieć.

J.H.: Ale tak około, czy to były lata pięćdziesiąte?

H.N.: Po 50 roku, w każdym razie. Pięćdziesiąty któryś mógł być.

J.H.: I oprócz tego, że uczestniczy pani w zebraniach, to jeszcze jakieś wyjazdy wspólne...

H.N.: Nie. Nie. Nie. Nie.

J.H.: I po tym 50 roku pani żyje się już lepiej trochę? Ta sytuacja materialna jest już lepsza?

H.N.: no tak.

J.H.: To znaczy odczuwa pani, że to uczestnictwo w partii ma jakiś pozytywny wpływ na pani życie?

H.N.: Nie. To raczej nie. No samo... praca, jako praca, no samo że się dostawało pobory, na początku jeszcze te różne przydziały były. Najlepsze to były te śledzie, to jeszcze pamiętam. No to zawsze oboje pracowaliśmy, oboje zarabialiśmy, także jakoś dało się żyć.

J.H.: I pani mąż też w partii uczestniczy?

H.N.: Był, ale do czasu jak się dowiedział, co Stalin zrobił.

J.H.: To znaczy?

H.N.: No, no... od czasu jak, po tym XX Zjeździe. No... wpadł w depresję po prostu. Wie pani, no... i jeszcze, jak go wyrzucili z pracy, w 67 roku, za to że Żyd. No zna pani te sprawy pewnie?

J.H.: tak, ale proszę powiedzieć.

H.N.: No przecież były te... takie sytuacje, że Żydów wyrzucali z pracy, zresztą mój mąż, moja przyjaciółka... ja już w tedy nie pracowałam, bo poszłam na rentę chorobową. Ale... mąż to był w takiej depresji, że ja się bałam o niego. Pamiętam, że córka to siedziała przy nim, jeszcze była smarkula, tak go gładziła i „Tatusi, nie martw się”, no ale później jakoś przemógł się. Ale mówił, że nie może w to uwierzyć, że coś takiego mogło się dziać.

J.H.: To dopiero po 67 roku do niego dociera?

H.N.: No tak, no już było słycać... nie to już po śmierci Stalina zaczęło do niego docierać te... wieści. To właściwie po tym XX Zjeździe KPZR. Jak się dowiedział, co Stalin wyprawiał, to wszystko dla niego stracił już wartość.

J.H.: A tak dokładniej o co chodziło?

H.N.: No przecie te lagry, te gułagi... podobno dwadzieścia milionów on ludzi zgładził. No nie osobiście, ale na jego rozkaz. Mówił: „Stalin?”. Ja jeszcze pamiętam przecie, syn miał chyba dziewięć lat, jak Stalin umarł, nie sześć lat miał, widzę go jak tutaj w drzwiach stoi koło telewizora i płacze, że Stalin umarł.

J.H.: pani syn?

H.N.: No tak, sześćoletni chłopiec, wiedział, że dziadzia Stalin umarł i o... i nie wiadomo co. A dopiero później dowiedzieliśmy się, co to za dziadzia był.

J.H.: No, ale to w pani domu rozmawiało się na te tematy, skoro sześćoletni chłopiec płacze...

H.N.: No tak. No bo się mówił, że Stalin taki dobry, że... no wie pani, dla mnie to też był szok, jak się dowiedziałam. Nie mogłam w to uwierzyć.

J.H.: A czuje się pani trochę oszukana przez ten system?

H.N.: Oczywiście, że tak. Oczywiście. Człowiek wierzył w to jak boga. A co się okazuje, że wcale nie lepszy był od Hitlera.

J.H.: Czyli pani wstępuje do tej partii tylko ze względu na ten socjalny charakter?

H.N.: Kazali mi po prostu!

J.H.: No, ja wiem, ale mówiła pani, że jej się podobało, że się opiekują biednymi itd.

H.N.: No tak... tak mi się wydawało, bo tak mi to przedstawiali, w takim świetle. A ja nie miałam pojęcia w ogóle, co to jest partia nawet i co to za partia.

J.H.: A pani pamięta, kto ją zwerbował?

H.N.: No, nie pamiętam, to z establishmentu oczywiście.

J.H.: I jak takie zapisanie się wyglądało?

H.N.: No tak, musiałam złożyć deklarację. Dali mi legitymacje i już byłam członkiem partii, no... ja musiałam jeszcze życiorys wygłosić na zebraniu. No życiorys miałam skromny, bo nie byłam stara, no tyle tylko, co przez wojnę przeżyłam i to było wszystko.

J.H.: I w tym okresie w latach pięćdziesiątych musi pani urywać swoje pochodzenia?

H.N.: Nie, nie wtedy nie.

J.H.: I wtedy jeszcze jakiś problemów z tego względu nie ma?

H.N.: nie. Nie odczuwałam tego, w każdym razie. O byłam na ogół lubiana, nie wiem dlaczego i nie okazywali mi ani jakiś taki... ani obrzydzenia, ani jakiś taki... no tylko ten jeden co powiedział, że powinni ich wszystkich potopić.

J.H.: I pani mąż też nie mówi o takich przypadkach?

H.N.: Nie. No mąż to już od kwietnia, jak ja jeszcze byłam w obozach, to on już pracował.

7.03.2005

KASETA NR 2

STRONA B

J.H.: Pani mówi, że wielu Żydów zmieniało nazwiska, jak pani zmieniała tylko imię. Pani nazwiska nie chciała zmienić. A co pani sądzi o tych Żydach, co zmieniali nazwiska?

H.N.: No nie podobało mi się to.

J.H.: pani to jakoś potępia?

H.N.: To znaczy potępia, każdy... tak planuje se życie, żeby mu było najlepiej. Ale i tak wszyscy wiedzieli, jakie oni mieli nazwiska i że zmienili, to trochę niesmaczne to dla mnie było. Mówię: „no, nazwiska nigdy nie zmienię”, tylko zmieniałam imiona ze względu na dzieci, ewentualne, bo jeszcze wtedy nie miałam dzieci. Męża nie miałam jeszcze wtedy. No a mąż nie zmienił ani imion, ani nazwiska.

J.H.: Też pani mówi, że po wojnie miała pani jakiś poważny wypadek samochodowy. Kiedy to było?

H.N.: Tak. To było w 72 roku.

J.H.: I to panią potrafił?

H.N.: tak, ja wysiadałam z tramwaju, nie na przystanku, bo przed naszym tramwajem jechał jeszcze inny tramwaj i ten się zatrzymał i jeszcze nie było tych drzwi mechanicznych, tylko samemu się otwierało. A miałam akurat na przeciwko, bo szłam do Urzędu Stanu Cywilnego dla córki musiałam metrykę, bo szła do szkoły, tej do gimnazjum musiała mieć. No i niestety se wysiadłam prosto pod samochód. To taka furgonetka była. I on mnie tu uderzył, złamaną miałam kość udową. To jest bardzo gruba kość, no i straciłam przytomność, ale nie na długo... no bo mnie przywrócił, ale pamiętam tego kierowcę biednego... stał nade mną biały, jak płótno. No bo się bał, że mnie zabił. No bo i można zabić tak. Tylko na szczęście to było blisko przystanku, to on wolniej jechał. No, ale tu mnie mocno uderzył, przewróciłam się, no i leżałam... to było w marcu, a ja do sierpnia leżałam w szpitalu. Później przyjechałam do domu na miesiąc i jak mi zdjęli gips, to zaczęła się rehabilitacja. No to to już mogłam pięcioraczki urodzić, taki to był straszny ból. Bo ta noga była sztywna, jak deska i ten magister mi ją uruchamiał, to jak ja zaczęłam krzyczeć, to on „Jak pani chce mieć sztywną nogę i nie chodzić, to ja mogę przestać”, no ale zacisnęłam zęby i pozwoliłam mu działać no... a ta noga była straszna, bo przecież była w gipsie od marca, do sierpnia. No to ładnych parę miesięcy. Także ...

J.H.: A w którym szpitalu pani była?

H.N.: To był szpital.... jak on się nazywa... już zapomniałam. Ale to daleko, daleko za miastem. To było w Łodzi, ale... tam jest szpital zakonny.

J.H.: Jana Bożego?

H.N.: Nie pamiętam, jak się nazywał i to obok tego szpitala było.

J.H.: Pani mówi, że już w 33 roku, jak pani tu mieszka z rodzicami... już się zaczyna mówić o Hitlerze. I co się mówi?

H.N.: no przyjechali moi wujowie z Niemiec. No bo tam było niebezpiecznie. To jeden wujek z ciotką zostali tu w Łodzi, a drugi wujek od razu pojechał do Izraela, no i tam... jakies chyba dziesięć, jedenaście lat temu zmarł, ale w Izraelu, ale nie miała z nim kontaktu.

J.H.: A co się mówiło o Hitlerze wtedy już?

H.N.: Wszystko, co najgorsze i zresztą to było uzasadnione. No zresztą wujostwo jak przyjechali, to opowiadali. Że tam w ostatniej chwili już przyjechali. No i tu zamieszkali, wujek gdzieś pracował, ale już nie pamiętam gdzie, a ciotka to dziergała na drutach i piękne suknie robiła. W tydzień robiła suknię. No i zarabiała na tym oczywiście, bo sprzedawała. Ale biedna była, bo zachorowała, jakies zapalenie kręgosłupa dostała i leżała na łóżku gipsowym, ale wyszła z tego z garbem. I urodziła dwoje dzieci, tam jeszcze w Niemczech i oboje się urodzili z zarośniętymi tyłkami... kiszki stolcowymi i oboje umarli. Jedno zaraz umarło, a drugie po ośmiu dniach. Także ona była bardzo biedna, przeżywała to bardzo. I jeszcze miała psa, ja znam tego psa, bo jeździłam na nim, miałam cztery lata, jak u nich byłam parę tygodni. No i tego psa jak przyjechali do Polski, musieli uśpić. Bo widzieli, że on jest już za stary żeby się przyzwyczaić do innego miejsca. No i uśpili go i ona strasznie rozpacziała i po psi, i po dzieciach, i po wszystkim. Ona urodzona była w Niemczech, w bytomiu, no to kiedyś były Niemcy.

J.H.: A jak miała na imię, pamięta pani?

H.N.: Greta.

J.H.: A wujek?

H.N.: Juliusz.

J.H.: A na nazwisko Najberg?

H.N.: Nie Najberg to przecież mój mąż. On miał na nazwisko... albo Cederbaum, albo Lasman, już nie pamiętam. Cederbaum to była moja babcia, a Lasman to byli moi rodzice. To ja nie pamiętam, po kim ona miała nazwisko. Chyba Cederbaum.

J.H.: Bo pani z domu nazywała się?

H.N.: Lasman.



J.H.: I teraz chciałabym wrócić do getta. Bo o im się mówiło, że to będzie getto gdzie się dużo pracuje i ono wtedy przynosi zyski Niemcom. Pani wiedziała o tej koncepcji Rumkowskiego?

H.N.: No wiedziałam, bo ja pracowałam dla nich, w takiej... taka fabryka, oni to szop nazywali, z angielskiego chyba. Tam się robiło mundury dla żołnierzy. A ja te rygielki przy dziurkach robiłam. Tam wszyscy musieli pracować, ale oczywiście bezpłatnie.

J.H.: A te sądy dotyczące Rumkowskiego to były raczej pozytywne, czy negatywne?

H.N.: raczej negatywne. Ja nie mogę o nim dobrego słowa powiedzieć raczej. No, ale... ale też zginął w Oświęcimiu.

J.H.: czyli pani, ogólnie negatywnie?

H.N.: No, geto było straszne. Nie do opisania. Mówię pani, jak się wychodziło na ulice, to pełno trupów było. Ludzie marli z głodu, z chorób. Taka cholerynka panowała, taka choroba. To kiedy się wyszło, to się napotykało trupy na ulicy. Później przyjeżdżały takie wozy i jeden na drugim te trupy były ułożone, wywozili na cmentarz. No straszne było geto, przede wszystkim głód. Przecież nie było co jeść. No, jak ktoś miał pieniądze to przecież czarny rynek był, to mógł sobie kupić, ale skąd wziąć pieniądze? Przecież tam się pracowało za darmo.

J.H.: A w Marysinie była pani kiedyś?

H.N.: Słucham?

J.H.: O Marysinie pani słyszała kiedyś?

H.N.: Nie, a co to takiego?

J.H.: Czyli tutaj nie pamięta pani?

H.N.: Nie. Nazwa mi coś mówi, ale nie przypominam sobie co to było takiego. A tak, to niedaleko Łodzi ten Marysin.

J.H.: I w rodzinie też Rumkowski był raczej negatywnie postrzegany?

H.N.: raczej tak, negatywnie. No bo on taki... był król. No i bardzo lubiał młode dziewczyny. Podkrażał się, przez okna zaglądał wieczorem...

J.H.: A skąd to pani wie?

H.N.: A, opowiadano tak. Bo ja z nim nie miałam kontaktu. Bo ja też młoda dziewczyna byłam wtedy.

J.H.: I pani mówi, że pani mąż pracuje w Oświęcimiu, prawda? I on jako kto pracował?

H.N.: Pracował w budownictwie. Oni tam jakieś stawiali słupy, jakieś coś tam robili... i mój mąż miał dobre pomysły i oni bardzo chętnie go brali do pracy. Bo on ułatwiał tę pracę. Potrafił to wszystko jakoś tak zorganizować, że nie było tak ciężko. No bo słup stawiać nie było tak łatwo, a tak to sposobem jakoś... no tu w domu, kiedyś ja byłam albo na wczasach, albo w sanatorium, przyjechałam umalowane było mieszkanie i on sam malował i... to są przecież ciężkie meble, to stare meble i mówił tak sobie poradził, że wcale się nie namęczył. Popodkładał jakieś deski, coś tam... i sam pomalował. A to jest przecież wielki pokój. To ja byłam zdumiona. Przyjechałam, a on mi taką niespodziankę zrobił.

J.H.: I pani mówi też, że jak wraca z tego Terezina do Pragi, to dostaje pięćdziesiąt koron na drogę.

H.N.: Nie tutaj w Łodzi dostałam pięćdziesiąt złotych, pół bochenka chleba...

J.H.: Ale tam na drogę dostałyście pięćdziesiąt koron?

H.N.: A też pięćdziesiąt koron i jeszcze jakieś produkty spożywcze, już nie pamiętam dokładnie, to tyle lat.

J.H.: A te pięćdziesiąt koron to tak dużo było?

H.N.: No tyle, że można sobie było coś kupić do jedzenia, no... no a tutaj też dostałam, przecież tutaj już przyjechałam na stałe, pięćdziesiąt złotych, pół bochenka chleba i kilo cukru.

J.H.: I za te pięćdziesiąt złotych, to ile można było wyżyć?

H.N.: Parę dni. No to dlatego zaraz starałam się o pracę, no bo... przecież musiałam z czegoś żyć. No i na szczęście ta jedna z koleżanek miała brata, który był personalnym i on mnie przyjął do pracy.

J.H.: I też pani mówi, że po latach bardzo żałowała, że została w Polsce.

H.N.: Żałowała, bo... przez ten antysemityzm no... to mnie bardzo bolało. Ale mój mąż, w żadnym wypadku nie chciał wyjeżdżać. Nawet mój syn miał do nas kiedyś o to pretensje. No, ale nie powodzi mu się źle, nie można narzekać.

J.H.: I pani też mówi o tym, że ma pani trzy śluby, prawda?

H.N.: Tak, to znaczy trzy śluby... zamieszkaliśmy razem 26 września, bo mój mąż nie mógł znieść, że ja śpię na podłodze, na cienkim sienniku i myszy po mnie latają, no to zabrał mnie do domu, tutaj... ale nie mieliśmy jeszcze wtedy ślubu, bo jeszcze wtedy nie było Urzędów Stanu Cywilnego. Wesele było 19 stycznia 46 roku. Bardzo huczne wesele. Bo wszyscy koledzy z pracy zaproszenie, nie zaproszeni... tu było chyba sto osób na tym weselu.

J.H.: I wesele było tutaj w mieszkaniu?

H.N.: Tutaj w mieszkaniu. Wszystkie meble były wyniesione i tutaj były ławy dookoła i w środku taki stół. Wszystko takie prowizoryczne oczywiście... no, ale wesele to miałam naprawdę huczne, tylko w pożyczonej sukience, bo nie miałam co na siebie włożyć.

J.H.: I od kogo pani pożyczała?

H.N.: Od jakiejś koleżanki, która tu była dłużej.

J.H.: A ten trzeci?

H.N.: A ten trzeci to już normalny ślub był, w Urzędzie Stanu Cywilnego, 2 maja 46. także ja nie wiedziałam, który ślub obchodzić.

J.H.: A ten w domu, to nie był tradycyjny ślub?

H.N.: Nie, to było wesele.

J.H.: Żadnego tradycyjnego, żydowskiego nie było?

H.N.: Nie, nie, nie. Tylko w Urzędzie Stanu Cywilnego. Ale tu był ślub, bo... myśmy mieli tu sąsiadów. Teraz też mamy tylko innych oczywiście i oni wzięli ten ślub żydowski, pod baldachimem. I ten był rabin... tylko nam kazali z mężem, tylko tam jest taki zwyczaj, że się obchodzi ten baldachim i myśmy nie wiedzieli ile razy. To myśmy chodzili i chodzili, aż w końcu nas zaczęli szarpać, że już dosyć. No myśmy się nie znali na tym, bo ja przed wojną nie przeżywałam żadnego ślubu, nie widziałam. No i ci sąsiedzi są właśnie w Stanach. Dzwoniła do mnie ta... koleżanka, ta, która tu mieszkała. No ona trochę młodsza była ode mnie.

J.H.: I pani mąż urodził się w Kielcach, tak?

H.N.: Tak.

J.H.: I kiedy dokładnie?

H.N.: 2 lutego 18 roku.

J.H.: I też z rodziny tradycyjnej, pani mówiła.

H.N.: Tak, bardzo. Bardzo tradycyjnej.

J.H.: jak tutaj zamieszkujecie po ślubie, to jak wam się żyje?

H.N.: no, na początku to było ciężko, bo się zarabiał mało. Bardzo niskie pensje były, tylko dostawaliśmy takie... śledzie, kaszę, takie rzeczy, żeby se uzupełnić. Na początku było ciężko. No ja się nie miałam w co ubrać, przywiozłam sobie tylko to, co miałam na sobie, a to były wspaniałe rzeczy, wie pani, z obozów, no i... nie było bardzo za co kupić. Pierwszy prezent, jaki dostałam od męża to było dwie pary pończoch, to już było... bo ja chodziłam boso, tylko w samych pantoflach, a jeszcze te pantofle miały wykręczone obcasy, także wspaniałe to wyglądało, wyglądałam jak królowa po prostu. No i dopiero później powoli, powoli coś się kupowało. Czasem coś się dostawało z UNRY jakiegoś ciuchy. No co było, to było dobre no... no bo przecież człowiek nie miał za co kupić.

J.H.: I dzieci pojawiają się kiedy?

H.N.: No, syn się urodził w 47, w czerwcu, a córka dopiero po dziesięciu latach, w 57, w lipcu.

J.H.: A syn dokładnie kiedy?

H.N.: 19 czerwca, to akurat będą chyba wybory, w jego urodziny.

J.H.: I to dziecko planowane było?

H.N.: Tak, oczywiście. No ja się nawet martwiłam, że dwa lata o ślubie, znaczy po zamieszkaniu, no już po ślubie też było i też jakoś myślałam, że już nie zajdę w ciążę. No a córka, ja pracowałam, mąż pracował, to ciężko było wychowywać dzieci. No i córka się urodziła po dziesięciu latach dopiero. Bo mąż to chciał mieć pięciorko, on bardzo kochał dzieci, no ale ja pracowałam, to jak wychowywać te dzieci?

J.H.: I syna wychowuje pani, tak?

H.N.: tak, ale później musieliśmy kogoś zatrudnić, bo oboje szliśmy do pracy, przecież nie zostawimy takiego małego dzieciaka samego. Jakaś taką... na początku to była taka Niemka, ale zachorowała i zmarła. To musiałam kogoś zatrudnić, żeby ty, dzieckiem się opiekował., kiedy nas nie ma w domu.

J.H.: I pani, do którego momentu się zajmuje, a od którego opiekunka?

H.N.: No... tylko miałam trzy miesiące urlopu wychowawczego, nie było wtedy więcej. I jak córka się urodziła też tylko trzy miesiące.

J.H.: I po tych trzech miesiącach przyszła ta Niemka?

H.N.: Tak. Po tych trzech miesiącach, ale długo nie była, bo jakoś zachorowała, to jakaś była taka ciężka choroba, była w szpitalu i tam zmarła i nawet opieka społeczna ją pochowała, bo my nie mieliśmy pieniędzy, żeby ją pochować.

J.H.: Ale skąd ona się tutaj wzięła?

H.N.: No mąż tam gdzie znalazł.

J.H.: Ale nie miała pani obiekcji, że to Niemka jest?

H.N.: No, ale ona mówiła dobrze po polsku.

J.H.: No, ale mimo wszystko, pani przeżyła wojnę...

H.N.: No, ale... no musiałam kogoś mieć, a trudno było wtedy zatrudnić kogoś. Jak córka się urodziła, to już było źle. Miałam Polkę, ale później się okazało, że złodziejka i w ogóle...

J.H.: I teraz syn nazywa się jak?

H.N.: Jerzy Bronisław.

J.H.: I pani syn, jak dorasta to idzie do przedszkola, czy od razu do szkoły?

H.N.: Tak. Oczywiście, do przedszkola. Kiedyś mi przyszedł sam, miał chyba cztery, czy pięć lat i przyszedł mi sam z przedszkola do domu. A ja byłam taka wściekła, zrobiłam taką awanturę w tym przedszkolu... Ale, że trafił, to... było ciekawe.

J.H.: I awantura w przedszkolu była?

H.N.: No, straszna. Ja mówię: „Jak można takie dziecko wypuszczać samo?”. „No, myśmy nie zauważyły”, „No jak to, to jaka opieką wy otaczacie... dzieci”. No córka to też chodziła do przedszkola, ale za każdym razem to był taki płacz... że serce mi się krajało, ale nie miałam rady musiałam ją prowadzić do przedszkola, bo przecież... A syn chodził do szkoły, ale on był bardzo opiekuńczy w stosunku do niej. To on ją przewijał, ja jej szykowałam jedzenie, on tylko zagrzewał i karmił ją... wszystko przy niej robił. Bardzo... bardzo byli związani ze sobą, do pewnego czasu.

J.H.: I syn chodzi potem do szkoły gdzie? Do szkoły podstawowej?

H.N.: tak, tutaj pod szesnastym jest szkoła podstawowa, to syn chodził i córka.

J.H.: I to była polska szkoła już?

H.N.: tak, oczywiście.

J.H.: I potem po tej szkole podstawowej?

H.N.: Potem to... na Kopernika było gimnazjum, nie pamiętam pod którym, ale bardzo znane było. I tam chodził do matury i tam zdał maturę. A później na Politechnikę.

J.H.: I co studiował na Politechnice?

H.N.: Elektronikę, cos w tym rodzaju. On jest inżynier elektronik. A córka studiowała na Politechnice, matematykę stosowaną, bo on bardzo lubił matematykę. Skończyła z tytułem inżynier... inżynier matematyk, o. Było takie.

J.H.: czyli syn dobrze się uczył w szkole?

H.N.: I córka i syn. Syn się bardzo dobrze uczył, pamiętam jak zapisywałam córkę i podałam nazwisko, to ta pani, która przyjmowała zgłoszenia, to mówi: „A, pani syn tu chodził?”, a ja mówię: „Tak”, „A no to żeby córka się tak uczyła, jak syn, to będzie dobrze”, no a ona się uczyła jeszcze lepiej. Ona była bardzo obowiązkowa.

J.H.: I takich żadnych problemów wychowawczych nie było?

H.N.: No, różnie to bywa. Były problemy wychowawcze, jak poznał swoją obecną żonę. To były duże problemy. Bo miał o wszystko do nas pretensje, bo jej ojciec był dyrektorem tramwajów, nie wiem jaki to, i miał samochód i w ogóle i to mu imponowało. To on chciałby też. No i od tego czasu, to się bardzo popsuło między nami. Ja już byłam szczęśliwa, że on się wyprowadził. Wynajęli se jakiś mieszkanie, po ślubie się wyprowadził z domu, bo ja już nie mogłam znieść go. O wszystko miał do nas pretensje. No jest taki wiek, niestety.

J.H.: No i on ją poznaje na studiach?

H.N.: Nie, on ją poznał... nie pamiętam, gdzie ją poznał, no bo ona jest lekarzem, ona studiowała medycynę, to nie ten kierunek.

J.H.: No, a w jakim wieku mógł ją poznać?

H.N.: No, oni się pobrali w 72 roku, no to ile miał... w 47 urodzony, czyli 25, czyli studiował jeszcze. No, ale już po studiach się pobrali, no ja jeszcze byłam na ich ślubie. Oni mieli ślub w lutym, chyba piątego lutego, a ja 25 marca miałam ten wypadek.

J.H.: I ona jest z pochodzenia Polką?

H.N.: Ona jest Polką tak... nawet ze szlachty pochodzą, jak jej matka twierdziła.

J.H.: I oni pobrali się w kościele?

H.N.: Mój syn się przechrzcił po kilku latach małżeństwa, zmienił nazwisko, Nagórski się nazywa i przechrzcili się i wzięli ślub w kościele. Wtedy. I dziecko ochrzcili w kościele, także katolicka rodzina. No, ona jest katoliczką oczywiście, ale on był większy katolik jak ona. Ona się skarżyła, mówiła że budził je, ją i córkę o szóstej rano w niedzielę, że mają iść do kościoła. Ona mówi, ona zdąży później, nie musi o szóstej rano. On bardzo taki... neofita jest prawdziwy. No co niedziela do kościoła, to już nie ma mowy...

J.H.: I pani myśli, że to się tak stało za sprawą żony?

H.N.: No nie wiem właśnie, dlaczego on postanowił. O nazwisko, to od razu prosił nas o zgodę, żebyśmy mu pozwolili zmienić nazwisko. No to ze względu na żonę chyba. No mówię: „No, twoja wola, już jesteś dorosły, to już musisz ty decydować, my nie mamy nic przeciwko temu. Twoja sprawa”. No to zmienił najpierw nazwisko. A przechrzcili się później dopiero.

J.H.: I to nazwisko, to on zmienia przed ślubem?

H.N.: Tak, tak, bo nie chciał żeby ona była Najberg, tylko żeby była Nagórska.

J.H.: A przechrzcił się, pamięta pani ile lat potem?

H.N.: No nie pamiętam dokładnie, ale chyba jeszcze przed urodzeniem tej wnuczki. No bo wnuczka to od razu była chrzczona w kościele, także... ja nawet byłam na chrzcinach. Ojciec, mąż nie chciał iść.

J.H.: No właśnie a te stosunki między wami, jak on zmienia to nazwisko i...

H.N.: No później, rzadko się raczej widywaliśmy, bo on pracował... nie mieli czasu. No moja synowa kochana, to do mnie dzwoni raz na dwa, trzy miesiące. Mimo, że jest lekarzem i wie, że ja nie jestem pierwszego zdrowia. No, ale niestety no tak się złożyło. No, nie mam pretensji, ona pracuje, zajmuje się tym wnuczkiem często, także... różnie to bywa.

J.H.: A syn starał się to wam jakoś tłumaczyć?

H.N.: No, nie... no mówił raczej... co do zmiany wyznania to się nam nie tłumaczył, ale mówi on czytał dużo tych... różnych pism na temat religii, ta religia mu się bardzo spodobała i dlatego się przechrzczył. No trudno, to jest jego życie, to jest już dorosły człowiek. Zresztą nie miałam nic przeciwko temu, jeżeli on uważał, że to jest dla niego najlepsze, to proszę bardzo.

J.H.: A pani mąż też był taki tolerancyjny?

H.N.: No, nie był taki. Trochę martwił się tym. No, ale cóż... mimo, że on nigdy nie był taki, mówiłam pani, że nawet przed wojną nie był taki wierzący, jak potrafił ugotować kielbasę w czajniku, w Sądny Dzień, no to... proszę sobie wyobrazić.

J.H.: No właśnie a w waszym domu, jak się rodzą dzieci, jest miejsce na tradycję żydowską?

H.N.: No specjalnie... no, dzieci wiedziały kim są, znały te niektóre zwyczaje, które ja znałam oczywiście, no ale u nas nigdy nie były przestrzegane te różne zwyczaje żydowskie.

J.H.: nawet tak, jak u pani w domu, że od czasu do czasu?

H.N.: U mnie w domu tutaj, już po ślubie? Nic, w ogóle.

J.H.: pani syn albo córka nigdy nie byli w synagodze?

H.N.: Nie. No córka, jak zamieszkała w Kanadzie, to czasem chodziła do synagogi. Ale mówiła, nie mogła znieść, bo te kazania... wprawdzie po angielsku mówił ten rabin... bo ja czasem chodziłam, jak były jakieś chrzciny w rodzinie, jakaś uroczystość, to ja nie mogłam wysiedzieć, bo potrafił dwie godziny gadać. A ja nie rozumiałam ani słowa, bo po angielsku. To córka to rozumiała, ale też mówiła: „Nie mogę, muszę wyjść”, no tośmy wychodziły na pół godzinki się przewietrzyć, no a później... a jeśli chodzi o chrzciny, że tak powiem, to bardzo podobne do chrześcijańskich, tyle tylko, że święconą wodą nie kropi, ale takie same zwyczaje... to nadanie imienia, to wszystko takie... i byli rodzice chrzestni, bardzo podobne.

J.H.: A myślała pani czasami, że to co się stało z synem to była trochę wasza wina, że nie mówiliście tyle o tej kulturze... on się w ogóle sam interesował tą kulturą?

H.N.: Oczywiście. Później, jak tu się zaczęło, wie pani 67, 8 rok, jak prześladowania Żydów tu w Łodzi, to syn chciał nawet jechać do Izraela, powiem pani szczerze, mimo że już był katolikiem. Nie jeszcze nie był wtedy, wtedy jeszcze nie był. Przed ślubem jego to było.

J.H.: A myśleliście, że to trochę waszej winy w tym jest?

H.N.: No, on miał pretensje do nas, żeśmy nie wyjechali w ogóle, za granicę. Tam miałby lepsze możliwości. No, ale tutaj też nieźle mu się wiedzie. Jest prezesem spółki, o ten kalendarz jest jego przedsiębiorstwa, Opolgraf.

J.H.: I oni, czym się zajmują?

H.N.: Drukarnia to jest.

J.H.: I syn, tam żeni się z tą panią. Jak ona ma na imię?

H.N.: Anna.

J.H.: A z rodziny?

J.H.: Gizgierz-Nawrońska-Nagórska. No bo z domu była Gizgierz-Nawrońska, a z męża nagórska. Ale tak to jest Gizgierz-Nagórska.

J.H.: I oni mają dzieci?

H.N.: Jedną córkę. Toteż już ma ponad trzydzieści lat.

J.H.: I jak ma na imię?

H.N.: Agnieszka.

J.H.: I to jest pani wnuczka?

H.N.: Wnuczka, a prawnuczek jest Maciuś.

J.H.: I Agnieszka ma męża.

H.N.: No, oczywiście.

J.H.: No i nazywa się jak?

H.N.: Braun.

J.H.: Ale to Polak jest?

H.N.: Polak. No może coś z Niemcami mieli wspólnego, no nie wiem.

J.H.: I oni też są katolicy, prawda?

H.N.: Tak. Oczywiście. No dziecko było chrzczone w kościele i ślub kościelny mieli. Na ślubie ich nie byłam, no bo już wtedy coś źle się czułam. Powiedzieli, że nie dam rady na tym weselu... no rzeczywiście, wesele było do piątej rano, to ja bym nie wysiedziała. To nie ma mowy.

J.H.: A jakie ma pani z nią kontakty? To są takie bliskie kontakty z Agnieszką

H.N.: Z Agnieszką to się spotykam, jak mnie zapraszają rodzice na obiad, raz na parę miesięcy, to się z nią wtedy widuję.

J.H.: A takich, żeby dzwoniła do babci?

H.N.: No nie. No dzwoniła na Dzień Babci składała mi życzenia. Ja prosiłam syna, żeby ją przekonał, żeby od czasu do czasu przyszedł do mnie z tym małym, bo chcę tego małego... za nią za bardzo nie tęsknię, ale tego małego chciałabym widzieć. No, ale niestety, nie doczekałam się.

J.H.: Ale widziała go pani w ogóle kilka razy?

H.N.: No tak. No ja przyjechałam w kwietniu z Kanady, to go widziałam chyba trzy razy od kwietnia. No to już jest prawie rok.

J.H.: Bo Agnieszka, kiedy się rodzi?

H.N.: Agnieszka... 27 marca, teraz będzie miała urodziny.

J.H.: A którego roku?

H.N.: No, w zeszłym roku skończyła trzydzieści lat... czyli 74, bo dwa lata po ich ślubie.

J.H.: A Maciuś?

H.N.: A Maciuś to się urodził trzy dni po tym strasznym, tym... wypadku World Trade Center. I wtedy syn był w Stanach i nie mógł wrócić, bo nie było żadnego połączenia. To dopiero. No był w Chicago, to wrócił dopiero po kilku dniach, syn był już na świecie.

J.H.: Ale to pani syn nie mógł wrócić ze Stanów?

H.N.: No nie mógł wrócić.

J.H.: Czyli wnuczek już była na świecie, nie syn.

H.N.: Tak.

J.H.: Czyli to będzie 14 września?

H.N.: Tak.

J.H.: A który to był rok?

H.N.: Zaraz, zaraz... jak on trzy lata teraz skończy, czyli w 2001.

J.H.: A teraz, jeżeli chodzi o pani córkę, to ona się rodzi w 57 roku?

H.N.: W 57 roku, w lipcu, 25 lipca.

J.H.: A dlaczego taka duża różnica?

H.N.: Bo w 55 roku poroniłam. Bo już byłam, w którymś tam miesiącu, chyba w czwartym albo w piątym, bo te kobity, jak ja leżałam w szpitalu, oglądały ten płód to już widać było, że to chłopczyk był. No i jakoś tak nie zachodziłam w ciążę. Już myślałam, że zostanę przy tym jednym, no to w 55 poroniłam, w 57.

J.H.: czyli planowaliście drugie dziecko?

H.N.: tak, planowaliśmy, bo mąż to chciał więcej dzieci. Ja mówię, no ale jak pracujemy oboje, to ciężko wychowywać dziecko. No ja bardzo szybko poszłam na rentę, bo zachorowałam na nadczynność tarczycy i leżałam dwa miesiące w szpitalu i potem komisja orzekła, że nie nadaję się do pracy i poszłam na rentę mając lat 44.

J.H.: I pani córka też chodzi najpierw do szkoły podstawowej, tak?

H.N.: tak, do tej samej szkoły, ale gimnazjum to już chodziła gdzie indziej, ale nie mogę się przypomnieć w tej chwili.

J.H.: I potem, po maturze?

H.N.: Do Politechniki.

J.H.: I ona tutaj poznaje swojego męża?

H.N.: A skąd, on tu w życiu nie był. Ona pojechała do wujków do Kanady i tam się poznali. I tak jak pojechała tak jakoś... była dwa razy tu w domu, ale pojechała z powrotem. No już tam dwadzieścia lat jest.

J.H.: I jak on wyjeżdża tam do tej Kanady. Od razu po studiach? Jak to jest?

H.N.: Prawie, że. No bo jak tam jest dwadzieścia lat, no to w osiemdziesiątym którymś. Tak... w 81, albo 2 wyjechała. To już jest jej drugi mąż. Tylko z tym pierwszym nie mogła się dogadać i się rozwiedli. No i później wyszła za mąż. No ja jej dużo pomagałam przy tym ślubie, bo byłam tam akurat jak brali ślub. No, ślub był bardzo ładny, tyle że musiała pożyczyć pieniądze. Tylko tam jest taki zwyczaj, że zamiast prezentów, to dają w kopercie pieniądze, także jej starczyło tych pieniędzy na oddanie długów. Także nie miała długów i prezentów też nie.

J.H.: Dlaczego córka wyjeżdża do Kanady?

H.N.: No, ona wyjechała tam do wujków.

J.H.: na wakacje najpierw tak?

H.N.: tak. I wróciła, ale znów prosili, że by przyjechała, no i pojechała i już tam została, bo poznała tego pierwszego męża. I się pobrali, ale nie wiem czy trzy miesiące byli razem.

J.H.: To kiedy ona wychodzi za mąż pierwszy raz, w którym roku?

H.N.: No to nie pamiętam, w którym roku, ale w osiemdziesiątych latach, w każdym razie.

J.H.: I potem wychodzi drugi raz za mąż. I w którym roku?

H.N.: No oni już są chyba dziesięć lat po ślubie, no to gdzieś... już w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

J.H.: I ten jej mąż pierwszy pani pamięta, jak się nazywał?

H.N.: Sztajnowicz.

J.H.: Ale to Polak był?

H.N.: jego ojciec był z Polski, ale Żyd. To był przyjaciel mojego męża, ten jego ojciec. Oni się jakoś tak poznali. On się strasznie w niej zakochał, ale później po ślubie to był nie do zniesienia.

J.H.: Ale na imię jak miał?

H.N.: Nie wiem, nie pamiętam.

J.H.: A ten drugi mąż, jak ma na imię?

H.N.: Gery.

J.H.: I nazywa się?

H.N.: Bluestone. Znaczący niebieski kamień dosłownie. Ale ona została przy panieńskim nazwisku.

J.H.: Aha, czyli Najberg?

H.N.: Najberg.

J.H.: A dlaczego nie zmieniła nazwiska?

H.N.: No jakoś nie chciało jej się załatwiać tych formalności. Mówi: „Co za różnica?”.

J.H.: Teraz porozmawiajmy o dzieciństwie pani dzieci.

H.N.: Moich dzieci?

J.H.: Tak.

H.N.: To znaczy co by pani chciała wiedzieć?

J.H.: To znaczy bez żadnej tradycji?

H.N.: No raczej, nie. Oni wiedzieli o tej tradycji, ale żeśmy jej nie przestrzegali.

J.H.: I takie spędzanie wolnego czasu. Państwo wyjeżdżacie na wakacje?

H.N.: No dzieci raczej wyjeżdżały... no czasami mąż, częściej zabierał dzieci, jak jechały na wczasy na przykład, urlop. No ja byłam z synem, w Juracie, w czasie wakacji, no z córką też gdzieś tam... ale mniej. No w domu, to wie pani, jak się pracuje... to jak się ma urlop, to się załatwia różne te... rzeczy domowe, często. No, a ojciec dużo poświęcał dzieciom. No on kochał dzieci, on chciał mieć pięcioro tylko. No, ale nie wyszło.

J.H.: czyli żadnych świąt żydowskich nie obchodzicie w domu?

H.N.: NO raczej nie. No tak tradycyjnie, to raczej nie. Wiedzieli, że są święta. Były na przykład mace, ale koło macy leżał chleb, no... w takim domu tradycyjnym, to by było nie do pomyślenia. Ale oni znali te... myśmy im opowiadali, jakie są te... tradycje, tylko że jakoś się nie przestrzegało. No mąż jeszcze przed wojną nie był nabożny.

J.H.: A wobec tego święta bardziej chrześcijańskie były?

H.N.: To była właśnie tragedia w Kanadzie, bo u nas zawsze była choinka, były prezenty, była gwiazdka, normalnie, jak w każdym domu, a tam jak pojechała do Kanady, jak chciała postawić choinkę, to była wielka awantura. Bo to nie jest wpisane w żydowską tradycję. No i ona już przyzwyczaiła się, że nie ma choinki. No, ja to miałam w tym roku piękną choinkę. Zawsze miałam dużą choinkę, ale bez światełek, a teraz to mam... sztuczna wprawdzie choinka, ale z lampkami w kształcie mikołajów, aniołków, no piękna choinka.

J.H.: Bo pani mąż umiera w którym roku?

H.N.: W 2002. teraz trzy lata minie w sierpniu.

J.H.: I to była choroba jakaś?

H.N.: NO mąż długo chorował na serce. No i umarł tak, że ja nawet nie wiedziałam że nie żyje. No bo w nocy narzekał na bóle brzucha i żołądka. Ja go prowadziłam do toalety, ale ledwo go doprowadzałam. Już cierpiał, był chory. I ja się domyślam, że to był ciężki zawał serca, bo tak się podobnie też robi. No i w końcu rano zadzwoniłam po pogotowie, no to ten lekarz mówi, że brzuch i żołądek są w porządku, tylko serce bardzo słabe, ledwo... i on zdążył wyjść ten lekarz i mąż wtedy umarł. Ja nie wiedziałam oczywiście, ale tak leżał na boku, jeszcze go widzę... ta ręka tak i ja myślałam, że śpi, z reszta ja też nie, to mówię: „Może se śpi?”, ale w końcu to mi się wydało podejrzane. Ja co chwila dochodziłam, czoło badałam, tu badałam, a to jeszcze ciepłe było. Myślałam, że tak mocno śpi. W końcu to mi si wydawało dziwne i wezwałam drugi raz pogotowie. No to ta lekarka mówi: „Proszę pani, pani mąż już od kilku godzin nie żyje. No dobrze, że był syn, bo ja zadzwoniłam po niego, bo ja się zaczęłam osuwać na ziemię, ale on mnie podtrzymał, dali mi zastrzyk. No i synowa zadzwoniła po... te pogrzebowe przedsiębiorstwo. No nie mogłam patrzeć, jak go zabierają... w ten worek. Jak se przypomnę, to mi się niedobrze robi. No, ale musiałam z tego przedsiębiorstwa pogrzebowego go przenieść, bo on jest pochowany na żydowskim cmentarzu. No to tam jest zakład pogrzebowy, bo tam są inne zwyczaje. To musiałam te zwłoki przenieść i jeszcze trzysta złoty zapłacić za to przeniesienie. No bo wie pani, u Żydów to się nie chowa w ubraniu, tylko w takim białym całunie. To trzeba specjalnie wiedzieć, jak to szyć. Ale teraz to się w trumnie chowa, bo kiedyś to albo deska była tylko, albo taka zbita skrzynia z desek. No, ale tu załatwiali mi w gminie żydowskiej bardzo piękną trumnę i kiedyś nie wolno było kwiatów, w żydowskiej religii to się nie nosi kwiatów na pogrzeb, a teraz jak ktoś chce to może. No to ta pani z gminy, to zamówiła wieniec, właściwie to ona organizowała ten pogrzeb.

J.H.: I pani wie nazwisko tej pani?

H.N.: Szyfman.

J.H.: czyli mąż pochowany zgodnie z tradycją?

H.N.: Tak, zgodnie z tradycją. I był rabin i przemawiał bardzo ładnie. Bardzo przyjemny ten rabin jest. Bo to jest jednocześnie przewodniczący tej gminy. To musi być rabin. I on przemawiał. No najpierw to jest też ten dom przedpogrzebowy, to tam ta trumna stałam. I tam też mówił coś ten rabin. No ja w ogóle nie słuchałam tego. No później poszliśmy, no... to nawet dość daleko od tej bramy jest pochowany, to tam sporo ludzi było. Ci, co przeczytali nekrolog, bo w Dzienniku był, no do niektórych dzwoniłam, do takich bliższych i wszystkie koleżanki córki były na tym pogrzebie. No teraz też się ze mną kontaktują. Koleżanki przeważnie z tego... ze studiów, albo z pracy, bo ona tutaj pracowała jeszcze. No i później to ten rabin się zapytał mojego syna, czy on odmówi tą modlitwę, ten Kadisz tę modlitwę za



zmarłych. A on akurat znalazł to bardzo dobrze, no to powiedział, że niestety nie. No to tam jeden z tych, kantor, z tej gminy, odśpiewał tą modlitwę. To też musiałam dać mu dwieście złotych. No, ale rabin nie wziął ani grosza, złamanego grosza. Bardzo przyjemny. Teraz czasem go spotykam, jak idę na cmentarz, zawsze się pyta, jak się czuję. No teraz rzadko chodzę, bo mi jest bardzo ciężko, no mam ten wózek, no to z tym wózkiem tam chodzę i jak się zmęczę, to tam jest krzeselko, to se siadam.

J.H.: I córka też była na tym pogrzebie?

H.N.: Była. Myśmy czekali. Bo w religii żydowskiej jest taki zwyczaj, że z dnia na dzień się chowa. No bo to pochodzi od czasów Izraela, no bo tam gorąco, ciało nie mogło leżeć, a nie było takich lodówek, jak teraz są. To właściwie powinien być pochowany w niedzielę, bo w sobotę zmarł, ale ze względu na córkę, to dopiero w piątek następny. Ona przyjechała. Dostała od razu... no zresztą ona wizy nie potrzebuje, bo ma polski paszport, także... nie musi mieć wizy. No, ale trzeba miejsce w samolocie... to też było trudna, ale ja jej posłałam akt zgonu, także... i przyjechała na ten pogrzeb. Ona strasznie kochała tatuśka. I bardzo to przeżyła. No syn oczywiście też był. No syn mnie prowadził i z drugiej strony przyjaciel męża. No to chyba ten pan Bromberg, co pani mówiła, była u niego. To z jednej strony on mnie prowadził, a z drugiej syn.

J.H.: Jeszcze mam pytanie, jak mieszkacie z mężem tu, wychowujecie dzieci, to dużo macie przyjaciół?

H.N.: No sporo, dużo. Był taki u nas zwyczaj, że co sobotę u innych odbywały się przyjęcia. No to u nas też. No i bardzo wesoło i tańczyliśmy i śpiewaliśmy, opowiadaliśmy sobie różne dowcipy. No i zawsze kolacja oczywiście była. No dużo mieliśmy znajomych, ale niestety... część poumierala, część powyjeżdżała.

J.H.: I to byli przede wszystkim Żydzi?

H.N.: Tak.

J.H.: Czyli wśród Polaków tych przyjaciół nie ma?

H.N.: No... mąż tam miał przyjaciół, ale nie takich bliskich, żeby się tak spotykać. No i wszyscy powyjeżdżali... no, albo... co, co powyjeżdżali też już poumierali.

J.H.: Teraz pani syn pracuje w Opolu i ma drukarnię tak?

H.N.: Tak.

J.H.: A jeżeli chodzi o córkę?

H.N.: Córka nie pracuje, bo ona jest chory człowiek. No, ona pracowała kilka miesięcy w takim butik, taki pan prowadził, to artysta jest. On sam te rzeczy projektował, sam szył... także... tylko że zrobił tam generalny remont poprzestawiał wszystko, to teraz na razie jest nieczynny, ale będzie pracować tam u niego. Ona lubi tam pracować u niego, bo tam są ładne rzeczy. Ona lubi tak... oglądać. I służy mu jako modelka. Bo on sam projektuje, sam szyje, sam wszystko robi. No i jak uszyje, to ona mu służy za modelkę.

J.H.: I to jest butik z rzeczami, z ubraniami?

H.N.: Tak. Nie tylko ubrania, takie różne gadzety, wie pani... paski, tam takie... z biżuterii różne rzeczy.

J.H.: I pani mówi, że ona choruje też tak?

H.N.: No choruje.

J.H.: I na co?

H.N.: No choruje przede wszystkim na ten brzuch, na jelita. I to jest choroba, na którą nie ma lekarstwa na całym świecie. Nie mogą dojść, jaka jest przyczyna i nie mogą leczyć.

Powiedział jej lekarz, że musi się przyzwyczaić żyć z bólem. No można się przyzwyczaić, to ja to czuję teraz. No i często ma takie bóle brzucha, że nie może jeść, nie może chodzić, cały dzień leży w Łózku. No i ma te migreny w dodatku. Także biedna jest no...

J.H.: Dzieci nie mają, tak?

H.N.: Nie. No ona ze względu na tą swoją depresję, nie zdecydowała się na dzieci. Mówiła, że nie da rady wychować.

J.H.: A pani wie, skąd u niej taka depresja?

H.N.: No tam w tej Kanadzie, tam jej się nie układało życie i tam zapadła w tą depresję.

J.H.: A teraz mam pytanie, jak pani zareagowała na powstanie państwa Izrael?

H.N.: No byłam zadowolona, że w razie czego mogę być obywatelką tego kraju. Nie jestem taka bezprizonna, jak to mówią. Ostatecznie, to tam Żydzi mieszkali od tysięcy lat.

J.H.: A myślała pani kiedyś o tym, żeby tam wyemigrować?

H.N.: o tam nie wytrzymałabym, bo ja nie znoszę upałów. Ja bym tam nie pożyła długo. Dla mnie upał to jest koniec. Ja wolę duży mróz, jak upał. No tego lata, to byłam... no, mówię pani, spałam bez przykrycia i w ogóle nie mogłam się rady dać. Okna pootwierane i jeszcze tu stał wiatrak.

J.H.: A pani mąż też nigdy nie myślał o tym, żeby tam wyemigrować?

H.N.: Nie. Tam nie.

J.H.: A dlaczego?

H.N.: On jakoś mu nie pasowało. A ja ze względów zdrowotnych. Miałam znajomych, którzy tam pojechali, ale musieli wrócić, bo ta żona nie wytrzymała upałów. To nie każdy.... mój syn zresztą też nie znosi upałów, a córka odwrotnie. Córka tylko upały, tylko gorąco musi być. A chude to takie o...

J.H.: czyli pani nie, ze względów zdrowotnych, a pani mąż, z powodów politycznych, czy zdrowotnych?

H.N.: Nie, no... jakoś go tam nie ciągnęło. Zresztą wiedział, że ja tam nie pojedę, bo tam nie wytrzymam, a sam by nie pojechał, nie ma mowy. No jak wytrzymaliśmy z sobą pięćdziesiąt siedem lat, to może sobie pani wyobrazić?

J.H.: A jeżeli chodzi o wojny izraelskie tą w 67 roku na przykład?

H.N.: No, na początku, to była euforia. A później to jak... przyszliśmy po rozum do głowy, to nie tak bardzo. No bo jednak oni napadli.

J.H.: Ale pani sytuacja jakoś się zmienia w Polsce?

H.N.: No tak oczywiście. No przecież ja już nie pracowałam. Poszłam na rentę chorobową, a męża wysiadali z pracy po prostu. I miałam przyjaciółkę, która też tam pracowała i też ją wyrzucili z pracy po prostu.

J.H.: I jeszcze jakieś prześladowania panią dotknęły?

H.N.: Oj dostawałam straszne anonimy. I to przeważnie na moje nazwisko, na moje imię raczej. Nie wiem dlaczego. Okropne. No mąż je gdzieś schował, ale nawet nie wiem gdzie. Okropne takie. „Wynoś się do Izraela” i takie różne takie... wie pani i „Dostyc już naszego polskiego chleba jadłaś”, tego typu anonimy. Wie pani, jak poczta przychodziła, to ja się trzęsłam. Już nie mogłam znieść. Już mąż zaczął chować te anonimy. I to wszystko na moje imię. Nie wiem, kto miał do mnie jakąś urazę, nie wiem. Bo ja się nie przypominam, żebym kogoś skrzywdziła. No, ale co zrobić?

J.H.: I jeszcze coś takiego się działo?

H.N.: No nie, poza tym to nie. Te anonimy, to mnie w chorobę wprowadziły. Bo ja trzęsłam codziennie i tylko patrzyłam, jest coś w skrzynce? Bardzo przykre to było.

J.H.: A wtedy, a latach siedemdziesiątych, jak zerwane zostają stosunki dyplomatyczne z Izraelem?

H.N.: No to już gorzej nie mogło być. No wie pani, przyjemnie jest otrzymywać tego typu anonimy? I mąż jeszcze poszedł do tego komitetu partyjnego, pokazał żeby jakoś reagowali, kto by się tam tym przejął?

J.H.: A była pani w Izraelu kiedyś?

H.N.: Nie, no i ja bym tam nie wytrzymała. No wie pani, ja jestem bardzo wrażliwa na upały.

J.H.: I pani mąż też nigdy nie był z wizytą?

H.N.: Nie, nie.

J.H.: A jakaś część rodziny tam jest?

H.N.: Tam był wujek, ale zmarł kilka lat temu. To był brat matki.

J.H.: I jak się nazywał, pani pamięta?

H.N.: Leon Cederbaum.

J.H.: I pani utrzymywała z nim jakieś kontakty?

H.N.: Po tym, jak wyjechał już nie. Ale on miał tutaj córkę w Szwajcarii była. To z nią utrzymywaliśmy kontakty. I ja nawet napisałam do niej po wojnie, jak wróciłam, ale nie dostałam odpowiedzi.

J.H.: A ona, jak miała na imię?

H.N.: Ilona Cederbaum. Tylko wyszła za mąż tam... tylko jak ona... Ganz, jej mąż Roy Ganz, był prokuratorem.

J.H.: A jeżeli chodzi o rodzinę na Zachodzie? Oprócz córki.

H.N.: No miałam bliska kuzynkę w Belgii, ale już zmarła też. Także teraz nie mam na Zachodzie żadnej rodziny.

J.H.: Ale z córką pani utrzymywała cały czas kontakty? Jak ona wyjeżdża w tych latach osiemdziesiątych, to te kontakty były utrudniane jakoś pani?

H.N.: No były, bo ona się przeprowadzała, ale... ona często dzwoniła. Teraz to dzwoni codziennie o ósmej wieczorem wiem, że Lilusia dzwoni, bo ona Liliana ma na imię.

J.H.: Ale jak wyjeżdża na samym początku?

H.N.: Na samym początku to nie były takie... ale ona przyjeżdżała częściej do Polski, no ale później, jak wyszła za mąż za tego Garego, no to już tak nie przyjeżdża. No, ale też, na zmianę tak. No teraz to ona zawsze przyjeżdżała w maju, czerwcu, później mnie zabierała ze sobą do siebie. No, ale w zeszłym roku, to oczywiście nie byłam, nie byłam w stanie, bo byłam chora, a w tym roku też nie wiem czy pojadę, czy dam radę. To jednak stąd trzeba pojechać do Warszawy, później dziewięć godzin w samolocie i później jeszcze... te odprawy, te... w poprzednim roku, to miałam straszne przejścia na lotnisku. Ostatnio to córka zamawiała wózek inwalidzki, także... na lotnisku miałam wózek i tam, w Toronto też, od razu wsiadłam z samolotu w wózek i wtedy też na wózku jechałam... i tam jest najpierw odprawa tych wszystkich przyjezdnych... no, ale to nie musi już pani chyba...

J.H.: Pani słucha na przykład stacje radiowe, niepolskie?

H.N.: Raczej nie. Ja oglądam telewizję, oglądam wiadomości, a radia to tak słucham rano tylko, jak wstaję.

J.H.: No i lubi pani książki czytać.

H.N.: Oj, bardzo.

J.H.: jakie książki pani czyta najczęściej?

H.N.: No różne. No taką... zaczęłam w zeszły tydzień i już prawie kończę, już tylko mam parę stron.

J.H.: Ale przede wszystkim romanse pewnie tak?

H.N.: To nie takie romanse, takie życiowe że tak powiem. No kiedyś to lubiłam bardzo biografie, na przykład, teraz też od czasu do czasu czytuję biografie, ale coś nie mogę się skupić teraz. Dawniej to czytałam dużo poważniejsze książki, teraz to już takie... także żeby przyjemność odczuwać.

J.H.: A jeżeli chodzi o gazety?

H.N.: gazety to tylko kupuję w jedną sobotę, ze względu na ten, o... program telewizyjny. Nie mam cierpliwości. Ja kiedyś to potrafiłam przeczytać gazetę od deski, do deski, teraz nie mam cierpliwości. No mam tu gazetę, ale rzadko do niej zaglądam powiem szczerze, bo jeśli chodzi o wiadomości, to mam w radiu, mam w telewizji, to wiem co się dzieje na świecie, a inne artykuły... coś nie mam cierpliwości po prostu.

J.H.: A jakie gazety najczęściej?

H.N. No, ja to Dziennik Łódzki kupuję, znaczy sąsiadka mi kupuje i przynosi, bo ja nie schodzę w ogóle, ja już nie pamiętam kiedy ja byłam na ulicy. Boję się po prostu. Jak jest ślisko, to nawet jak ktoś mnie podtrzymuje, to ja się boję, bo dosyć przeżyłam po tym złamaniu nogi, po tym wypadku.

J.H.: A jak się pani życie zmienia po 89. po tym, jak ta Solidarność i potem?

H.N.: Bo powiem pani szczerze, że dużo się w moim życiu nie zmieniło po tym wszystkim. Jak się pracuje, to co innego, ale ja już nie pracowałam, mąż już nie pracował, to myśmy nie mieli już takiego styku z tym wszystkim. Tylko tyle, co się oglądało w telewizji, czy w radio, czy w gazecie.

J.H.: Ale pani mówiła, że pani syn działał w Solidarności?

H.N.: Oj, tak i nawet w więzieniu siedział.

J.H.: I od kiedy ona tak zaczyna działać?

H.N.: Od początku. On nawet siedział, bo znaleźli w bagażniku jego samochodu ulotki, które drukowali tak. W podziemiu.

J.H.: I on na studiach zaczyna tak działać?

H.N.: No chyba tak.

J.H.: I pani wie, jak tam trafia w ogóle?

H.N.: Nie, nie. On nie zwierzał mi się tak, ale wiedziałam że działa w Solidarności. No teraz to działa w jakimś klubie konserwatywnym, nie wiem co to jest. Nawet u niego tam się odbywają, jakieś tam spotkania. No on lub i działać. No. A pracuje, jak głupi osioł, przepraszam za wyrażenie. Potrafi do dwunastej w nocy siedzieć w pracy, albo wychodzi na spacer o godzinie gdzieś dziewiętej w pół do dziesiątej i wraca do pracy, albo w domu pracuje, b ma też komputer... no to jest taki pracoholik. A też nie powinien, bo ma rozrusznik. On ma chore serce. No był teraz na badaniach, dwa tygodnie temu chyba... no powiedzieli że serce w normie, rozrusznik dobrze pracuje, no to to najważniejsze.

J.H.: Ale on w ogóle nic o tej działalności w Solidarności nie opowiada?

H.N.: No mało opowiadał. No wtedy, kiedy jeszcze było nielegalne, to nie chciał w domu nic mówić o tym. Bo nie wiadomo czy nie było gdzieś podsłuchu, różnie to bywało. No, a teraz to już nie ma sensu no... tylko działa w takich różnych organizacjach...

J.H.: I on, w którym roku siedzi w więzieniu?

H.N.: to było... nie pamiętam, który to był rok... wiem tylko, że 27 października go wsadzili, bo były imieniny mojej koleżanki Sabiny i nawet się tam spóźniłam z tego powodu, ale który to był rok... no, ona też już nie żyje kilka lat. Nie powiem, który to rok mógł być.

J.H.: I za co on do tego więzienia trafia?

H.N.: No bo on był obserwowany w ogóle, bo wiedzieli, że pracuje w Solidarności i złapali go, w bagażniku samochodu miał ulotki, takie... anty, no i od razu go do więzienia zabrali, no ale długo nie siedział, na Boże narodzenie go wypuścili.

J.H.: Czyli dwa miesiące?

H.N.: Tak. No bo nic nie mówił, ni odpowiadał na żadne pytanie, nikogo nie wsypał, to po co go mieli trzymać?

J.H.: I pani mąż, albo pani, jak reagujecie na to że on w tej Solidarności działa?

H.N.: No to... Ja mu tego nie zabraniałam i nie miałam mu tego za złe. No mówię, każdy chce wolności. A później, jak już była, wie pani legalna, to znowu jeździł po Piotrkowskiej i apelował, żeby ludzie nie pili alkoholu, takie antyalkoholowe. To też go kiedyś zatrzymali, bo na cały głos, miał taką tubę, czy coś tam... i krzyczał, żeby ludzie nie pili, no... a on to, absolutnie. Czasem tam trochę wina wypije...

J.H.: A pani mąż też tak pozytywnie do tego się odnosił? Znaczy tak tolerancyjnie?

H.N.: Tak, tak. Mówi: „Jak on uważa, że powinien, to jego sprawa i nie będę mu zabraniał”. Tylko, jak on przychodził do nas, raz na tydzień przychodził..

7.03.2005  
KASETA NR 3  
STRONA B

H.N.: To się zawsze kłócili na ten temat. Na temat polityki szczególnie. Nie, o religii to nie dyskutowali raczej. Ale na tle polityki, to się kłócili często. To błagałam męża, żeby z nim nie zaczynał rozmowy na tematy polityczne.

J.H.: A o co się kłócili najczęściej?

H.N.: No... mąż to był jeszcze sprzed wojny lewicowiec, a on był i jest do dziś prawicowiec. No to lewicowiec z prawicowcem nie zgadzają się raczej. Zawsze mieli inne zdania. No i później to już gadali o pogodzie, samochodzie, o takich różnych.

J.H.: I właściwie pani przez całe swoje życie stosunku do tradycji i religii żydowskiej nie zmienia?

H.N.: Nie, nie absolutnie.

J.H.: A teraz jeżeli chodzi o takie kontakty z gminą żydowską, pani jakieś utrzymuje w ogóle?

H.N.: No, utrzymywałam, jak był pogrzeb męża, wiadomo I nawet zamówiłam już miejsce dla siebie tam blisko męża. Ale tak to nie miałam. No z tą panią, która mi tak załatwiła te sprawy. To ona czasem przychodziła do nas, ale ostatnio się ten kontakt jakoś urwał.

J.H.: I dzisiaj tylko przychodzi ten pan, który pani pomaga?

H.N.: Nie, to nie z gminy.

J.H.: T nie jest z gminy?

H.N.: Nie, absolutnie.

J.H.: Czyli z gminy w ogóle nic, żadnego kontaktu?

H.N.: Nie, nie. No byłam, bo miałam chodzić na... bo tam jest taki dział rehabilitacji. No, ale byłam tam u tej pani doktor, ale ona powiedziała, że ja się nie nadaję do takiej rehabilitacji, bo może mi się krzywda stać. Tylko tyle, że mi zapisała taki gorset.

J.H.: Bo taki codzienny dzień jak pani wygląda? Pani cały czas jest w domu, nie wychodzi, prawda?

H.N.: Nie wychodzę. No, wstaję rano, to wie pani, mycie, ubieranie. Później przychodzi ten pan, to mi odkłada pościel, bo ja nie dam rady przenieść, odsuwa te zasłony, bo to też trudno, trzeba kijem. Robi mi śniadanie, myje naczynia po śniadaniu i idzie. Później przyjdzie teraz około czwartej i znowu obiad mi przygotuje i pościel przyniesie, żebym już miała. No, a później, jak się zacznie jakiś program w telewizji, to oglądam telewizję. I tyle. No i czytam. W między czasie czytam oczywiście, rozwiązuje krzyżówki.

J.H.: I ten pan, to kto to jest?

H.N.: Tutaj mieszkał, na czwartym piętrze, mieszkał jego brat. I on do tego brata przychodził. I kiedyś myśmy byli na klatce schodowej i oni akurat zeszli, no to mąż tak lubił rozmawiać z ludźmi. No to z tym bratem zaczął rozmawiać i później mnie już było bardzo ciężko sprzątać, nawet z odkurzaczem nie mogłam se dać rady, to mąż zapytał tego brata jego, czy nie mógłby przyjść do nas i pomóc nam trochę, chociaż raz w tygodniu. On mówi: „Proszę bardzo”. I od tego czasu zaczął przychodzić, tylko przychodził raz w tygodniu wtedy, bo ja se sprzątałam sama, jeszcze mogłam, a teraz to już... od czasu jak mąż umarł wtedy jeszcze przychodził dwa razy w tygodniu, a później ja się przewróciłam w kuchni, strasznie się potłukłam... to on od tego czasu przychodzi dwa razy dziennie. no ja u płacę oczywiście za to. No on chyba... on dba o mnie, jak o matkę, mówię pani. Gotuje mi obiady, na weekend, bo w weekend nie

przynoszą mi obiady. Zawsze nie ma... Ja myślę, czy on kiedyś zapomni. A skąd? „Pani Helenko, co dzisiaj gotujemy?”. Ja mówię: „Niech pan da spokój, ja coś tam sobie zjem”, „Nie ma mowy, pani musi mieć siłę, żeby być zdrowa”. No i przynosi mi.

J.H.: A obiady to skąd pani dostaje?

H.N.: To jest Fundacja Kolbego. To jest takie, te... Polsko-Niemieckie jakieś tam pojednanie. I oni tam.

J.H.: Bo jeśli chodzi o jakieś rekompensaty po wojnie, to pani otrzymuje?

H.N.: Przede wszystkim to ja mam dwie renty. Ja mam rentę z pracy i mam rentę... właśnie z tego polsko-niemieckiego pojednania, z tego... to jest ta Fundacja Kolbego właśnie. No i... bo z jednej renty, to by mi było ciężko wyżyć, ale diw razem, to jakoś się utrzymuje, no i... powinnam dostawać, raz na kwartał, ileś tam euro, trzysta coś z tym euro, ale już rok nie dostaję, nie wiem co tam... dłaczego. Napisałam nawet do nich pismo i nie odpisali. W październiku wysłałam pismo i nie odpisali. No poproszę syna, jak będzie w Warszawie, żeby tam poszedł.

J.H.: I to jest od Niemców?

H.N.: To jest od Niemców.

J.H.: Teraz chciałbym się spytać, dlaczego pani w ogóle zgodziła się na te wywiad?

H.N.: No, mój czas nie jest cenny. Bo widzi pani, jak go spędzam. Pani czas jest cenny, ale mój? No jeśli wam to jest potrzebne dłaczego miałabym nie udzielić tego wywiadu, ja już mówiłam pni zdaje się, że udzieliłam wywiadu tej fundacji Schpielberga, w Kanadzie. Nawet jestem tam, w tym Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie. Ja i mąż, zdjęcia i te wywiady nasze. No to mówię, dłaczego... Jak chcecie cos wiedzieć o mnie, to proszę bardzo. Chyba żebym była bardzo zajęta, albo bardzo chora. Ale staram się jak mogę. Ale na początku to się zastanawiałam, czy dam radę po prostu. Bo mi ciężko tak jest, wie pani... dłuższy czas, ale doszłam do wniosku, że jak mogę, to dłaczego nie. Może wam to coś da. Chociaż ta pani, jak ona się nazywa...

J.H.: Grupińska.

H.N.: To mówiła, że chodzi jej o taką tradycyjną rodzinę, raczej ortodoksyjną.

J.H.: No jakaś tam była, chociaż w drugim pokoleniu...

H.N.: No tak. Ale u nas to niestety. Ja jej powiedziałam, że u nas nie było takiego tradycyjnego domu i nie wiem, czy coś jej pomoże, ten mój wywiad. No, ale jak uważacie, że to ale jest potrzebne, to proszę bardzo. To pani zajmuje swój czas, bo mój nie jest cenny.

J.H.: Jeszcze parę pytań dosłownie. Pani stosunek dzisiaj do Niemców i do Polaków, jaki on jest?

H.N.: Do Niemców to taki mam ambiwalentny stosunek, że tak powiem. Nie kocham ich niestety, bo nie mam za co. A jeśli chodzi o Polaków, to ja miałam przyjaciół Polaków, no mam pretensje do tych, którzy mnie obrażali, ale do pozostałych absolutnie. Bo nie mam powodu.

J.H.: Rozmawialiśmy także, że pani stosunek do religii nie zmienia się przez całe życie?

H.N.: raczej nie.

J.H.: A jeżeli chodzi o ten czas w Oświęcimiu, to pani miała kiedyś taki moment, że modliła się, a przykład, do boga, w tych najtrudniejszych chwilach?

H.N.: NO, nawet teraz mi się zdarza, jak mnie bardzo boli. To zwracam się do boga, żeby mi pomógł. To jest... już w człowieku tkwi po prostu. Mimo, że... ja specjalnie nie wierzę, bo z nikim nie rozmawiałam, żeby stamtąd wrócił i mi powiedział. Ale instynktownie czuję, że jest jakaś siła, która może mi pomóc. I zwracam się w takich momentach. Do boga. Tylko nie wiem, czy mnie słyszy i czy mi pomoże.

J.H.: A jeżeli chodzi o gminę w Łodzi. Co pani sądzi o jej funkcjonowaniu. Bo pani przyjeżdża po wojnie, dostaje od nich... i co pani dzisiaj sądzi?

H.N.: No, trudno mi powiedzieć, bo nie mam z nimi specjalnego kontaktu. No miałam kontakt wtedy, kiedy mąż zmarł i zorganizowali mi ten pogrzeb. To jestem im za to wdzięczna, bo nie byłam w stanie wtedy. A oni wszystko zorganizowali, także... jak zajęchałam na cmentarz to była piękna trumna, piękny wieniec, no ja zapłaciłam za to wszystko, oczywiście. No, ale sam fakt, że mi pomogli. To ta pani, nie wiem, kim ona tam jest. Także... bardzo im byłam wdzięczna. I ten rabin, przewodniczący, bardzo sympatyczny człowiek... no wygłosił tam przemówienie, nad grobem i... tak, jak ksiądz bierze kupę pieniędzy za to przemówienie, to rabin ani grosza. No tylko musiałam zapłacić temu, co Kidisz odmówił, ta modlitwę za zmarłych. Bo mój syn niestety nie zna. On pytał syna, czy potrafi. On powiedział, nie. No to ten... odśpiewał ta modlitwę no i jemu zapłaciłam, ale... rabin ani groszika nie wziął. I bardzo sympatyczny. Jak mnie spotyka na cmentarzu, to zawsze podchodzi, pyta jak się czuję i w ogóle.

J.H.: Czyli uważa pani, że taka instytucja jest potrzebna?

H.N.: No, raczej tak. No jest tu chyba... z dwustu Żydów w Łodzi chyba jest. No zawsze potrzebna jakaś pomoc.

J.H.: Pani mówi też, jak wraca w 45 roku do Łodzi, pani śpi tam u koleżanek, to pani im płaci za to?

H.N.: Nie, nie. No bo nie u nich bezpośrednio tylko u ich rodziny.

J.H.: No tak, ale tej rodzinie?

H.N.: Nie absolutnie nie.

J.H.: Pani też opowiada, że jak się nasilają te antysemickie nastroje, to pani i pani męża znajomego zamordowano w domu?

J.H.: I pani pamięta, jak on się nazywał?

H.N.: Nie, nie pamiętam. To był wojskowy, on był kapitan wojska.

J.H.: I było jakieś dochodzenie?

H.N.: Było. Ale... ponieważ ja nie byłam z rodziny, to mnie nie dopuszczali do tych... chciałam się dowiedzieć, czy łapali, czy trafili na ślad... zabójców, no ale niestety...

J.H.: I pani mówi, że to Polacy na pewno byli, prawda?

H.N.: No a kto...

J.H.: A skąd wiadomo?

H.N.: A kto? Żydzi go nie zamordowali, to jest pewne. A wtedy jeszcze tak nie było cudzoziemców. N tak... to było zaskoczenie. W wannie akurat go zabili, jak się kąpał. Nie wiadomo skąd mieli klucze.

J.H.: Pani też opowiada o takim, jednym który do pani przychodzi coś załatwić i mówi, że szkoda że tych Żydów nie potopili wszystkich. To pani pamięta jego nazwisko?

H.N.: Nie.

J.H.: I tego komendanta swojego, co miał mu naganę dać?

H.N.: Oj, coś na „u” się kończyło nazwisko. Ale coś nie mogę... to wiele, wiele lat temu.

J.H.: A w tej komendzie, jak pani pracuje, to dużo Żydów wtedy pracuje?

H.N.: Kilkoro. I wszystkich wysiudali w 67 roku.

J.H.: I wy się tak razem trzymacie w tej pracy, czy tak każdy...

H.N.: Nie... tam... z jedną szczególnie przyjaciółką, ale niedawno umarła. Zresztą zachorowała na Alchaimera, to... już nie było z nią kontaktu w ogóle.

J.H.: jak ona się nazywała?

H.N.: Ona się nazywała... Szymańska.

J.H.: A na imię?

H.N.: Stefa. Stefania.

J.H.: Ale ona Polką była?

H.N.: Żydówką. Tylko męża miał Polaka. No i ten mąż umarł w zeszłym roku.

J.H.: I pani tam dużą karierę robi w tej komendzie, prawda?

H.N.: Nie...

J.H.: No, ale zaczyna pani od...

H.N.: Zaczyna od maszynistki, zaczęłam, a skończyłam na kierowniku sekcji.

J.H.: I to pani tylko tak awansuje?

H.N.: No... jak człowiek długo pracuje I dobrze pracuje to awansuje. No mówię pani, wszystkie referaty dla komendantów, to ja pisałam. I oni mnie cenili, bo te referaty były na poziomie. Zawsze no muszę się pochwalić... no bo ja zawsze z polskiego miałam piątki, to już... najlepsza w klasie byłam.

J.H.: A jakie to były referaty?

H.N.: No... jakieś z okazji jakiś świąt, ja była jakaś rocznica...

J.H.: Ale takie polityczne referaty?

H.N.: Nie. Takie na temat tego, co ta milicja robi. No takie, wie pani...

H.N.: Administracyjne?

H.N.: Tak.

J.H.: I to, że jest pani żydówka, to pani nie przeszkadza w pracy?

H.N.: Nie, to nie. No bo wtedy, jak mnie przyjmowali do pracy, to to było modne. Później, coraz bardziej się stawało niemodne, no a w 67 roku, to już była przecież... nie wiem, jak to nazwać...

J.H.: Ale, co ma pani na myśli mówiąc, że to było modne?

H.N.: Żeby przyjmować Żydów.

J.H.: Aha, w ramach takiego zadośćuczynienia?

H.N.: No właśnie.

J.H.: I pani mówi, że pani mąż z Kielc jest?

H.H.: Tak.

J.H.: I kiedy on przyjeżdża do Łodzi?

H.N.: No miał chyba dziesięć lat, jak się przeprowadzili do Łodzi.

J.H.: Cała rodzina?

H.N.: Tak.

J.H.: A pani wie, dlaczego się przeprowadzają do Łodzi?

H.N.: Nie... chodziło o pracę ojca.

J.H.: Za chlebem?

H.N.: Tak. No, ale tutaj za dobrze nie mieli. Mieszkali na Mielczarskiego, to tu niedaleko też... no było ich sześcioro i rodzice. Mieszkali w małym mieszkaniu, ojciec był posadzkarzem. Układał te posadzki. I pracowity był bardzo, ale nie zarabiał się wtedy za dużo. Na tyle osób.

J.H.: A mama męża?

H.N.: No to przecież, jak tyle osób w rodzinie, to ona nie mogła pracować. Miała dosyć pracy w domu.

J.H.: i pani mówi, że po 45 roku należy do partii, bo musi. I ze znajomych też wielu należało?

H.N.: No raczej... nie miałam wielu znajomych. Z tych znajomych, co się tu spotykaliśmy, to nikt absolutnie. No tylko ci znajomi, którzy pracowali ze mną, to już musieli. To nie było cudu. No zresztą może gdybym ja wiedziała, co ta za partia, jaki ma program... to może bym się zastanowiła, ale ja wtedy byłam młoda dziewczyna, absolutnie w polityce niezaznajomiona z niczym, ja nie wiedziałam, co to jest w ogóle. Powiedzieli, że muszę, no to muszę i tyle no...

J.H.: Pani mówi, że pani z bratem w bardzo dobrych stosunkach żyli?

H.N.: W bardzo dobrych.

J.H.: A jak było z pani dziećmi?

H.N.: No... mówiłam pani, że mój syn bardzo był związany z córką. Dziesięć lat różnicy było między nimi. On się nią opiekował, jak matka. Naprawdę. Ja tylko zostawiałam jedzenie i



picie, tylko mówiłam jak ma zagrzewać i on ja karmił, on ją przewijał, on się nią opiekował naprawdę, jak ojciec, mimo że jeszcze był młody chłopak. No, ale jak poznał tą swoją żonkę, to się wszystko utło, że tak powiem.

J.H.: Znaczący, że pani córka nie bardzo lubiła ją?

H.N.: Do dzisiaj nie bardzo jesteśmy tak... zbliżone. No skoro synowa, lekarz, wie że ja jestem chora naprawdę, bardzo źle się czuje i nawet nie potrafi zadzwonić, zapytać się „Mamo, jak się czujesz?”, może pani sobie wyobrazić. Od kwietnia zeszłego roku, jak ja wróciłam z Kanady, do dzisiaj to może trzy razy zadzwoniła do mnie. A u nich byłam dwa razy na obiedzie. Nie mogliby starej matki, raz na tydzień zaprosić do siebie? Albo chociaż raz na miesiąc? Tylko, że mój syn jest jej podporządkowany, ona tam rządzi i on nie ma nic do gadania. Zresztą przyjeżdża na dwa dni w tygodniu, to nie chce z nią zadzierać.

J.H.: A pani wie skąd w niej taki brak tego związku?

H.N.: No to jest tego typu człowiek, ona ma taki charakter no...

J.H.: Ale nie myśli pani, że to ma związek z tym, że wy pochodzicie z rodziny żydowskiej?

H.N.: Nie wiem. Trudno mi powiedzieć.

J.H.: Bo oni gdzie mieszkają teraz?

H.N.: Teraz na Falistej, to jest tam na Retkini.

J.H.: Ale syn pracuje w Opolu?

H.N.: Tak i przyjeżdża raz na tydzień, na weekend. No w tę sobotę nie przyjeżdża, bo tam jest jakiś wielki koncert, on jest jednym ze sponsorów, także... musi tam być obecny, bo to będzie koncert w katedrze. Ale tak, to na sobotę i niedzielę przyjeżdża.

J.H.: Kiedy pani uważa, że żyje jej się w Polsce najlepiej? Kiedy taki najlepszy jest dla pani czas?

H.N.: Później, jak pracowaliśmy oboje, jak wyszłam za męża, jak pracowaliśmy oboje nie było nam źle. Nie powiem, że było tak super, no ale... starczyło... mnie starczyły pieniądze.

Pamiętam, jak dziś, pod koniec miesiąca, to ja już wiedziałam, że do sklepu nie mam co wstąpić, bo już nie miałam pieniędzy. No później, jak dostałam tę rentę niemiecką i mąż też, to już nam było lżej, już było więcej pieniędzy... także... nieźle nam się żyło, nie narzekam.

J.H.: Pani, mówi, że samochód ją potrafił i to od tego czasu ma pani takie kłopoty z chodzeniem?

H.N.: Nie, no... to rok trwało, zanim zaczęłam chodzić. Jeszcze o kuli chodziłam. No, ale później powoli. No, ale teraz podejrzewam, że ta choroba, która teraz mnie spotkała, to może coś tam... naruszone po tym wypadku. Jednak złamana kość udowa. To jest najgrubsza kość, przecież człowieka. To może zostawiło jakieś ślady?

J.H.: Bo takie problemy jak dzisiaj, to od kiedy pani ma?

H.N.: No one tak, jak wróciłam z Kanady, w zeszłym roku, to jeszcze chodziłam normalnie, no ale później zaczęły się bóle tutaj. Wezwałam lekarzkę, bo nawet nie mogłam pójść do nie, to powiedziała, że to jest rwa kulszowa. To jest bardzo paskudna choroba, długotrwała i właściwie już do końca życia będzie mnie trzymało. No i później jeszcze ten upadek w domu, to jeszcze, że tak powiem pogorszył ten stan. No, na początku, to ja prawie wcale nie chodziłam, ale później powoli, powoli... chyba ze siedemdziesiąt zastrzyków miałam. No te zastrzyki coś zrobiły prawdopodobnie, a później już zaczęłam lepiej chodzić, ale bez laski to... od tego czasu nie chodzę.

J.H.: Pani mówi, że córka opiekuje się jakąś Polką?

H.N.: Ale, to jak ona malutka była.

J.H.: A mogłaby pani coś o niej opowiedzieć?

H.N.: Wolę nie wspominać jej. Okradała nas o w ogóle.

J.H.: A to skąd ona, ktoś ją polecił?

H.N.: Ktoś ją chyba polecił. Bo ja musiałam kogoś mieć, jak poszłam do racy. Dwoje dzieci nie mogłam przecież tak zostawić. Ale ona okazało się, że ona złodziejka i w ogóle. I okazało

się, że chora wenerycznie była. Dostaliśmy wezwania cała rodzina na badania. No bo ona coś tam... nawet mi nie powiedziała, tylko poszła do lekarza i okazało się, że chora wenerycznie. No to nas wszystkich wezwali i dzieci... no na szczęście nie nastąpiło żadne... nikt się nie zaraził. No, ale ona oczywiście odeszła, zresztą ją wzięli do szpitala na leczenie. Co się z nią dzieje już nie wiem.

J.H.: A pamiętam pani, jak się nazywała?

H.N.: Wiem, że Jadzia, ale nie pamiętam nazwiska.

J.H.: Czy pani wnuczka zna przeszłość taty?

H.N.: Zna, zna.

J.H.: To tata sam jej opowiadał, czy...

H.N.: A tego nie wiem, ale wiem że zna. No bo czasem jak tam jestem to rozmawiamy na różne tematy, to wiem że się orientuje, że jest półkrwi Żydówką. Właściwie już ćwierć krwi.

J.H.: I jaki ona ma do tego stosunek?

H.N.: No, nie to bardzo grzecznie. To są kulturalni ludzie, wie pani. Rodzina taka... także nie daje odczuć ani nic. Nie ona jest półkrwi, tylko jej dziecko jest ćwierć krwi.

J.H.: I dzisiaj jak układają się pani stosunki z synem, z córką. Z córką na pewno bardzo blisko.

H.N.: No wspaniale, codziennie dzwoni. I w ogóle jest... ona w ogóle by chciała, żebym ja z nią mieszkała tam... ale ja nie dałabym rady. Starego drzewa się nie przesadza na ogół.

J.H.: A z synem jak to jest?

H.N.: No syn teraz to się... bywały takie lata, że w ogóle nie kontaktowaliśmy się. No, ale teraz to... codziennie prawie dzwoni z tego Opolą, raz na tydzień tu przychodzi, siedzi ze dwie godziny, rozmawiamy... No przywiózł mi ten wózek, te kule mi przywiózł z Opolą... Nie do syna nie mam pretensji, tylko do synowej. Bo uważam, że powinna chociaż raz w tygodniu zadzwonić, dowiedzieć się czy ta matka żyje jeszcze w ogóle.

J.H.: A pani wnuczka, gdzie ona mieszka?

H.N.: Tu w Łodzi też.

J.H.: I ona panią odwiedza?

H.N.: Raz, na dziesięć lat.

J.H.: A na przykład tegoroczne święta Bożego Narodzenia, jak pani spędziła?

H.N.: No, byłam u syna. I cała rodzina tam była.

J.H.: Czyli na święta, on zawsze panią...

H.N.: No teraz mam nadzieję, że na Wielkanoc też mnie zaproszą. To syn po mnie przyjeżdża i mnie odwozi.

J.H.: I pani dobrze się czuje u nich w domu?

H.N.: Tak. No szczególnie, jak ten mały jest. On jest taki słodki dzieciak że... no i chciałabym go częściej widywać. No i powiedziałam synowi, czy ta Agnieszka nie może wsiąść do samochodu i chociaż godzinkę tu posiedzieć? Ale bez odzewu. No, ona pracuje wprawdzie. Do dziecka ma opiekunkę. N, ale w któryś dzień weekendu mogła by przyjechać, ran na kiedyś. No, ale niestety nie mogę się doczekać.

J.H.: A wie pani, gdzie ona pracuje?

H.N.: Ona pracuje w ABW.

J.H.: A co to jest?

H.N.: Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

J.H.: I kim ona tam jest?

H.N.: Nie wiem. Ona jest prawnikiem z wykształcenia, widocznie...

J.H.: I jak państw się zapatrywali na wyjazd córki do Kanady?

H.N.: No... nie było mi to na rękę wtedy. Nie mogłam jej... tamta rodzina ją tak jakoś przerobiła. No a później, jak tam wyszła za męża, to już... Było po ptakach, jak to mówią.

J.H.: zakochana była pewnie też, nie?

H.N.: No... tak. No już są dziesięć lat z mężem jakoś... im się układa.

J.H.: A teraz czy pani córka albo syn znali przeszłość waszą? Te wszystkie wasze przejścia, obozy?

H.N.: O tak. No... syn, to słuchał z otwartymi ustami, jak mąż opowiadał. Bo mąż miał dużo do opowiadania i jakoś ładnie... znaczy, nie można powiedzieć, że ładnie, ale tak...

J.H.: Ciekawie.

H.N.: Tak... że rzeczywiście to robiło wrażenie.

J.H.: Ale to było tak, że dzieci w pewnym momencie pytały, czy wy zaczęliście opowiadać?

H.N.: No... my opowiadaliśmy. Ja nie tyle, ile mąż. On miał dużo do opowiadania i mąż tak opowiadał. A syn to mówił: „Jak tato to mógł przeżyć?”. Rzeczywiście, to było trudne do uwierzenia i trudne do uwierzenia, że aż osiemdziesiąt dwa lata przeżył.

J.H.: Od kiedy ma pani choinkę w domu?

H.N.: Od zawsze.

J.H.: Ale u pani w domu też tak było?

H.N.: Nie, nie. Jak ja tu byłam samodzielna. Po wojnie.

J.H.: czyli od pierwszego święta po wojnie?

H.N.: od tego czasu, kiedy miałam swoje mieszkanie. To co roku była choinka. To nie było mowy, żeby nie było. No i teraz, w tym roku miałam po raz pierwszy choinkę z lampkami.

J.H.: A skąd ten pomysł na choinkę? Pani widziała u kogoś i to się pani spodobało?

H.N.: No to ja już nie pamiętam. To wszędzie były choinki, te ozdoby i to wszystko... człowiek wiedział, że na Boże Narodzenia musi być choinka. No, ale córka tam w Kanadzie, jak powiedziała pierwszy raz, że chce choinkę, to tragedia była. Bo ta rodzina ich... to była raczej taka... no nie powiem, żeby taka pobożna, ale raczej te tradycje były przestrzegane.

J.H.: A teraz u pani córki?

H.N.: Nie, bo zięć też sobie nie życzy.

J.H.: Bo ta rodzina, która się nie zgodziła na choinkę, to była rodzina pierwszego męża?

H.N.: Drugiego. Bo z pierwszym mężem to ona sześć tygodni była. Rodzina mojego męża się nie chciała zgodzić, bo ona tam mieszkała u nich na początku. No a później, jak już mieszkała z mężem, w swoim mieszkaniu, no to ten mąż się nie chciał zgodzić. Bo on nie był do tego przyzwyczajony.

J.H.: pani mówi, że wy z mężem a tradycji nie żyjecie, to dlaczego pani się zdecydowała na pogrzeb tradycyjny?

H.N.: Mąż tego sobie życzył. Pod koniec życia, to bez przerwy mówił o tym cmentarzu. Mówił: „Pamiętaj, że ja chcę być pochowany na żydowskim cmentarzu, bo na polskim po dwudziestu latach, jak nie zapłacisz, cię nie będzie, to mi tam wpakują kogo innego”, a na żydowskim cmentarzu to nie wolno ruszać, jak człowiek jest pochowany, to do końca świata musi tam leżeć, nie wolno go ruszać. I nie wiem dlaczego, coś go widocznie... jednak coś w nim było z tej tradycji i bez przerwy. Jeszcze dzień przed śmiercią, pamiętam: „Pamiętaj żebyś mnie pochowała na żydowskim cmentarzu”. Ja mówię: „Przestań ty już gadać o tym cmentarzu”, bo już mnie to denerwowało. „Musisz być na top przygotowana”, no widocznie już się bardzo źle czuł i tak było. Następnego dnia umarł. No i dlatego go pochowałam tam i prosiła, żeby mi tam zarezerwowali miejsce dla mnie też. Tam gdzieś blisko też męża.

J.H.: I tym grobem kto się opiekuje?

H.N.: No... jest już nagrobek, z granitu piękny nagrobek. I jak jest ciepło, to jaz tym wózkiem tam jeżdżę, znaczy syn mnie zawozi samochodem i ja z tym wózkiem, bo to jest dość daleko od bramy, ten grób męża, no ale tam jest krzeselko także... jak się zmęczę to mogę se usiąść. No ostatni raz to byłam jesienią, jak jeszcze było możliwie. No n takie pogody to ja nie pójdę, t nie mam mowy.

J.H.: Pani mówi, że córka zanim wyjeżdża to jeszcze tu pracuje gdzieś w Polsce. To gdzie ona pracowała?

H.N.: Jakież że to, coś tam... jakaś taka firma, nawet nie wiem dokładnie, on a przy komputerze pracowała, ale co to za firma to ja już nie pamiętam. No i stamtąd ma te koleżanki, z którym jak przyjeżdża to się zawsze spotyka.

J.H.: Mam pytanie, czy rodzina syna była na pogrzebie męża?

H.N.: Byli wszyscy.

J.H.: Pani mówiła, że pani mąż to tak nie bardzo reaguje, jak państwo Izrael powstaje, że nie chciała tam wyjechać i w ogóle.

H.N.: No nie... nie tak, że nie podobało. Żadna agresja mu się nie podobała. No to jednak była agresja, jakby nie było. Ta wojna sześciodniowa. Także... pod tym względem nie był zachwycony, no i jeśli chodzi o wyjazd, to ja też bym tam nie pojechała. Ja ze względu na klimat.

J.H.: No, ale nie cieszył się, że państwo jest już?

H.N.: No, nie to myśmy się oboje cieszyli, że w razie potrzeby to jest ktoś, kto się może nami zaopiekować. A tak, to nie mieliśmy żadnego państwa.

J.H.: I mąż pracuje cały czas w komendzie?

H.N.: Tak, tak.

J.H.: I cały czas, jako ten magazynier?

H.N.: Nie, później to już był... ale tylko w administracji, on się zajmował umundurowaniem, przydzielaniem umundurowania.

J.H.: I jak traci pracę w 67, to później jeszcze gdzieś pracuje?

H.N.: Nie, już poszedł na rentę. Ale był w takiej depresji, że bałam się o niego. Córka jeszcze pamiętam siadała, głaskała go i mówiła: „Tatuś, już się tak nie przejmuj”. Bo on pracował tyle lat i poświęcił się tej pracy, a tu kopa w pupę, za przeproszeniem, dlatego że jesteś Żydem. No, on miał wprawdzie trzydzieści sześć lat pracy, także mu przysługiwała emerytura. A ja na szczęście poszłam najpierw na rentę chorobową, jako niezdolna do pracy. Ale ta moja przyjaciółka, z którą się tak przyjaźniłam, no to ją wysiadli po prostu.

J.H.: A jak ona się nazywała?

H.N.: Stefania Szymańska.

J.H.: I pani uważa, że w Polsce jest antysemityzm?

H.N.: No... zawsze był, nie powiem że nigdy nie było antysemityzmu w Polsce, zawsze był i jest. Może tego się tak nie okazuje teraz, ale niestety jest. Nas zresztą nikt nie lubi, muszę to przyznać. Nie wiem dlaczego. Komu zawiniliśmy. No w ogóle Żydów się na świecie raczej nie lubi. Nie wiem dlaczego, Żydzi to są fałszerze... to są najgorsi, nie wiem dlaczego. Ale dlaczego, psiakość słoniowa? Komu my żeśmy krzywdę zrobili? No niestety... no tu jest, wśród sąsiadów, to byliśmy bardzo lubiani, no i teraz też jedna mi sąsiadka przynosi gazetę... no z tą sąsiadką nie mam tak kontaktu, bo ona opiekuje się dziećmi córki... rzadko jest w domy. Ale ta z przeciwka bardzo jest taka życzliwa.

J.H.: Bo tutaj obok, w tym mieszkaniu mieszkają jacyś ludzie?

H.N.: Tak, od zawsze to było takie mieszkanie dwurodzinne. Jak zamieszkałam na początku, to mieliśmy wspólną kuchnię i łazienkę, ale później, już nie pamiętam w którym roku, zrobiono nam taki... generalny remont, także my mamy oddzielną kuchnię i łazienkę i oni też. Także... łączy nas tylko ten korytarz.

J.H.: Ale dobrze się żyje w taki sposób?

H.N.: No różnie to bywało. No teraz nawet rzadko się widujemy, szczerze mówiąc.

J.H.: I te anonimy, które do pani przychodzą, one były pisane ręcznie?

H.N.: Nie, na maszynie. Także trudno było nawet charakter pisma rozpoznać.

J.H.: Także pani się nie domyśla...

H.N.: No, nie... mąż wiedział, mówił, że wie, no ale wie pani nie złapałam go na gorącym uczynku, to co mogę? Jak mu udowodnię, że to on pisał?

J.H.: A mogłaby pani powiedzieć, kto to był?

H.N.: No tyż pracownik komendy.  
J.H.: I do kiedy je pani otrzymuje?  
H.N.: No już dawno nie. Przez pewien czas otrzymywałam. Ale to były straszne anonimy.  
J.H.: Ale przez miesiąc, dwa, rok?  
H.N.: No chyba przez rok.  
J.H.: I pani mówi, że córka wyjeżdża w latach osiemdziesiątych do Kanady i ja mam pytanie, czy władza jakoś nie utrudniała pani kontaktów? Czy listy dochodziły, czy telefony...  
H.N.: No, ja miałam jeszcze bardzo bliską kuzynkę w Belgii, w Brukseli mieszkała. I ona mnie stale zapraszała do siebie. I te zaproszenia nawet do mnie nie docierały. Dopiero w 74 roku dostałam zezwolenie i byłam u niej dwa miesiące. A z córką to nie miałam kłopotów. No i jeździliśmy przecież do Kanady przez dwa lata z mężem...  
J.H.: I pani mówi też, że czasem słucha radia. Jakies ulubione ma pani stacje?  
H.N.: No nie... tutaj jest jakaś 99,8. no to tam jest tylko muzyka i wiadomości. Nic więcej. No raczej, jeżeli chodzi o wiadomości, to korzystam z telewizji.  
J.H.: I też ma pani jakieś ulubione wiadomości?  
H.N.: No lubię Teleekspres i oglądam zawsze wiadomości na pierwszym kanale. O 19.30. te główne. No czasem mi się zradza na TVN-ie, no tam te Fakty są dość ciekawe.  
J.H.: I pani mówi, że sąsiadka jej czasem kupuje gazetę w sobotę, żeby był program i to jaka jest gazeta?  
H.N.: Dziennik Łódzki. Tylko ta, bo tam są takie przejrzyste te programy i kolorowe o...  
J.H.: czyli raczej dobrych ma pani sąsiadów?  
H.N.: Tak, nie mogę narzekać. No, jak był pogrzeb męża, to prawie wszyscy sąsiedzi byli. I jak ja przyjeżdżam i wyjeżdżam zawsze się żegnają, ściskają...  
J.H.: I państwo się cieszyli, jak komunizm upada?  
H.N.: No po tym co się dowiedziałam o komunizmie, to bardzo. Już dawno powinno to być. Po tym, czego się dowiedziałam o Stalinie, o tych wszystkich... przecież ile, sto milionów Rosjan zginęło przez Stalina? Za niewinność właściwie.  
J.H.: I jak syn działa w Solidarności, to państwo popierają to?  
H.N.: Popierałam tak. Jak najbardziej. Tylko ostrzegałam go, że może za to zapłacić. No i siedział... niedługo, dwa miesiące. Ale zawsze.  
J.H.: A pani mąż też popierał?  
H.N.: Tak, tak, tak. Mówił: „Każdy ma swoje zapatrywania i ma prawo w nie wierzyć. I przestrzegać tego”.  
J.H.: I jak wy się dowiedzieliście, że syna aresztowali?  
H.N.: Dzwoniła synowa. To akurat były imieniny Sabiny. Ja akurat miałam taką przyjaciółkę Sabinę, byłyśmy zaproszone, z tą drugą przyjaciółką. No zadzwoniła ta synowa, że syna aresztowali.  
J.H.: I państwo nie starają się go jakoś z tego więzienia wyciągnąć?  
H.N.: Nie mieliśmy żadnych możliwości... żadnych dojść, ani... no, ale długo nie siedział. No mówił, że nawet ust nie otworzył, jak go przesłuchiwali. Widzieli, że nic z niego nie wyciągną, więc nie było go sensu trzymać.  
J.H.: On opowiada, jak tam, w tym więzieniu było?  
H.N.: No mówił tylko tyle, że nic nie mówił. Absolutnie.  
J.H.: pani mówi, że potem jak ta Solidarność się kończy, to on zaczyna po Piotrkowskiej jeździć... i to była jakaś organizacja?  
H.N.: te alkoholowe... no on to zorganizował, taki ruch antyalkoholowy i jeździł po Piotrkowskiej i wykrzykiwał te różne hasła, żeby nie pić...  
J.H.: Ale to on zakłada jakąś organizację?  
H.N.: No... on mówi, że on był inicjatorem tego.  
J.H.: I pani wie, czy tam dużo osób działało razem z nim?

H.N.: no trudno mi powiedzieć, bo tak się nie zwierzał.

J.H.: I ten pan, który do pani przychodzi, on się Rysio nazywa tak?

H.N.: Karol.

J.H.: A gdzie on teraz mieszka?

H.N.: Na Północnej 1. No to nie jest daleko, koło Placu Wolności, także...

J.H.: I on to tak z dobroci serca, myśli pani?

H.N.: No jak to. I jedno i drugie. Bardzo miły człowiek i on tak o mnie dba, jak o matkę. Naprawdę.

J.H.: Ale mysi pani, że przede wszystkim dla pieniędzy?

H.N.: No czy dla pieniędzy nie wiem. Ale wiem, że bardzo o mnie dba, bardzo się o mnie troszczy. Zawsze mi gotuje obiady na weekend, bo wtedy stamtąd nie przynoszą...

J.H.: A on pracuje gdzieś?

H.N.: Na bezrobociu jest. Znaczy już też mu się skończyło w lutym... i jeszcze w marcu ma dostać końcówkę. No, a potem dostanie czterdzieści złotych z opieki, to można za to żyć z całą rodziną, jak... król. No to on nie tylko u mnie pracuje. U ludzi myje okna, trzepie dywany, maluje... i on wszystko potrafi. To jest bardzo zdolny człowiek, tylko wykształcenia nie ma. No stara się o pracę, ale ma już ponad pięćdziesiąt lat, także... wątpię czy dostanie pracę gdziekolwiek. Tym bardziej, że nie ma takich kwalifikacji. Bo tak, to on wszystko potrafi zrobić tyle, że... nie ma bumagi tak zwanej. Bumaga po rosyjsku to jest dokument.

J.H.: Pani czegoś żałuje w życiu?

H.N.: Owszem, żałuję, że nie mogłam studiować i nie mogłam do czegoś dojść rzeczywiście. Bo ja ma zdolności humanistyczne. Ja piszę wiersze... wie pani. Myślałam naprawdę, że może będę pisarka, że może cos... ale życie mi nie pozwoliło niestety i tego bardzo żałuję. Niestety już niepowetowana strata. No a po wojnie to zaraz do pracy, bo trzeba było zarobić na chleb. No mąż to właściwie zrobił po wojnie maturę. Bo on też miał właściwie tylko szkołę podstawową i po wojnie przerobił kurs cały gimnazjum i zrobił maturę. Do dziś pamiętam, jak chodził po mieszkaniu, z kompresem na głowie i musiało być tak cicho, że słycać było przelatującą muchę. No, ale jednak silna wola miał i zrobił tę maturę. No mnie też namawiał, ale ja nie miałam siły do pracy, tu dzieci... dom i jeszcze do szkoły. Jak już się zdecydowałam, to... w ogóle żałuję tego, że nie mogłam się kształcić.

J.H.: No i tego powrotu do Łodzi?

H.N.: No, tak jak mnie przywitano. O w Łodzi, tak nie odczuwałam tego, ale też mówili... bo pamiętam ja najpierw pracowałam u Marchlewkiego, jako tkaczka, a znałam się na tym, jak Zabłocki na mydle. Także... nawet tkaczki, co koło nas pracowały... bo jeszcze z koleżanką tam byłyśmy zatrudnione... „Panienci, to nie są do takiej pracy”. No bo myśmy się inaczej wyrażały i w ogóle. Jakieś tam wykształcenie miałyśmy przecież. No długo tam nie pracowałyśmy. No ona tam została, ale potem przeszła do administracji. No, a ja przeszłam tutaj do... przez tego brata koleżanki. On też nie chciał mnie zatrudnić na początku, powiedział, że będą mówić, że on zatrudnia znajomych, Żydówki, bo on też był Żydem. Ale ta... jego żona go namówiła, „Słuchaj, nie będziesz miał wstydu”. Bo ona mnie znała, myśmy rozmawiały często i tak zaczęłam tam pracować. Do renty jakoś dotrwałam. Dwadzieścia parę lat, jakby nie było.

J.H.: Pani jest dzisiaj samotna?

H.N.: Samotna... to znaczy tyle, że syna mam, córkę mam, no, ale to tak od czasu, do czasu. A tak to samotna.